

pasje

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

ISSN 2451-1641

Nr 2(8)/2019

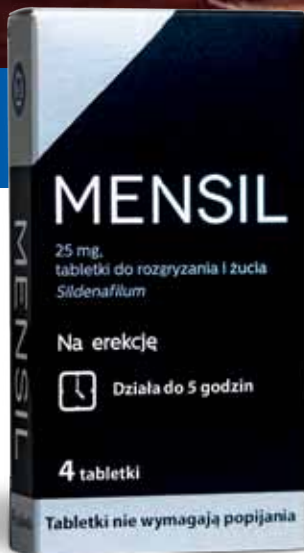
WROCŁAWSKI MAGAZYN EKOLOGICZNO-ŁOWIECKI



MENSIL®



CHCESZ STAWAĆ na wysokości zadania?



MĘŻCZYŻNA NIE WYMIĘKA



-  **Poprawia erekcję***
-  **Szybko daje do 5 godzin gotowości***
-  **Dyskretny, nie wymaga popijania**

www.mensil.pl

Mensil, 25 mg, tabletki do rozgryzania i żucia. Skład: Jedna tabletkę zawiera 25 mg syldenafilu w postaci cytrynianu. **Postać farmaceutyczna:** tabletkę do rozgryzania i żucia. **Wskazania do stosowania:** Produkt leczniczy Mensil jest wskazany do stosowania u dorosłych mężczyzn z zaburzeniami erekcji, czyli niezdolnością uzyskania lub utrzymania erekcji grądy wystarczającej do odbycia stosunku płciowego. W celu skutecznego działania produktu leczniczego Mensil niezbędna jest stymulacja seksualna. **Przeciwwskazania:** Nadwrażliwość na substancję czynną lub na którąkolwiek substancję pomocniczą. Ze względu na wpływ syldenafilu na przemiany metaboliczne, w których biorą udział tlenek azotu i cykliczny guanozynomonofosforan (cGMP), nasila on hipotensyjne działanie azotanów. **Przeciwwskazane** jest zatem równoczesne podawanie syldenafilu z lekami uwalniającymi tlenek azotu (np. azotynem amylu) lub azotanami w jakiegokolwiek postaci. Jednoczesne stosowanie inhibitorów PDE5, w tym syldenafilu, i leków pobudzających cyklazę guanylową, takich jak riociguat, jest przeciwwskazane, ponieważ może prowadzić do objawowego niedociśnienia tętniczego. Produktów leczniczych przeznaczonych do leczenia zaburzeń erekcji, w tym syldenafilu, nie należy stosować u mężczyzn, u których aktywność seksualna nie jest wskazana (np. pacjenci z ciężkimi schorzeniami układu sercowo-naczyniowego, takimi jak niestabilna dławica piersiowa lub ciężka niewydolność serca). Produkt leczniczy Mensil jest przeciwwskazany u pacjentów, którzy utracili wzrok w jednym oku w wyniku niezwiązanej z zapaleniem tętnic przedniej niedokrwiennej neuropatii nerwu wzrokowego (ang. *non-arteric anterior ischemic optic neuropathy*, NAION), niezależnie o tego, czy miało to związek z wcześniejszą ekspozycją na inhibitor PDE5. Nie badano bezpieczeństwa stosowania syldenafilu w następujących grupach pacjentów: pacjentów z ciężką niewydolnością wątroby, hipotonią (ciśnienie krwi <90/50 mm Hg), po niedawno przeżytym udarze lub zawale serca oraz ze stwierdzonymi dziedzicznymi zmianami degeneracyjnymi siatkówki, takimi jak *retinitis pigmentosa* (niewielka część tych pacjentów ma genetycznie uwarunkowane nieprawidłowości fosfodiesterazy siatkówki). Stosowanie syldenafilu u tych pacjentów jest przeciwwskazane. **Podmiot odpowiedzialny:** PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCJI FARMACEUTYCZNEJ HASCO-LEK S.A. 51-131 Wrocław, ul. Żmigrodzka 242E. Przed zastosowaniem należy zapoznać się z zatwierdzoną charakterystyką preparatu. Dalsze informacje dostępne na życzenie.

*Na podstawie Charakterystyki Produktu Leczniczego Mensil pkt.5. ppkt.5.1., w badaniach klinicznych wykazano, że sildenafil wspomaga osiągnięcie erekcji w zakresie czasu od 12–37 minut od zażycia.

2019_0671H

Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą, gdyż każdy lek niewłaściwie stosowany zagraża Twojemu życiu lub zdrowiu.



Dla nikogo z nas, myśliwych, nie jest tajemnicą, że nic tak nie odbija się negatywnie na naszym Związku jak brak przemyślanej, profesjonalnej promocji, która we współczesnych czasach towarzyszy niemal wszelkim ludzkim przedsięwzięciom. Jest to bolesny i wymagający długiego leczenia spadek. Skąd się wziął, jest sprawą osobną. Czy to naprawimy, jest kwestią – miejmy nadzieję – obecnie bardziej od nas zależną. Jednym z przedsięwzięć ku temu dążących jest niewątpliwie film „W kniei i na salonach” nawiązujący do dziejów naszej Ojczyzny i mówiący o losach kobiet, które połączyła wspólna pasja – łowiectwo. Tym cenniejszym, że jest inicjatywą oddolną, własnym sumptem zrealizowaną przez pasjonatów łowiectwa, dla których jest ono nie tylko łowami, ale trwałym elementem historii i tradycji narodowej. Jest dziełem tym bardziej godnym odnotowania, a twórcom pogratulowania pomysłu, zapału, wytrwałości i wiary, co i szacunku dla historii, tradycji oraz własnego hobby, że zrealizowali go bez pomocy jakichkolwiek czynników – nazwijmy to – oficjalnych. Gdy trwa dyskusja o łowiectwie w kontekście dziedzictwa narodowego pokazuje jego przeciwnikom płytkość ich wiedzy i myślenia.

Łowczy Okręgowy
Zarządu Okręgowego PZŁ

Roman Rycombel

Członek
Naczelnej Rady Łowieckiej PZŁ

Jacek Seniów



*Wesołych Świąt
i Szczęśliwego Nowego Roku
życzą PASJE*

Jerzy **4**

Szkody, szkody... **8**

Hartmann & Weiss **12**

Krajowo i zbiorowo **20**

Za szaraka płacimy z satysfakcją... **23**

Płoszyć czy płacić? **29**

Kłusownik? **32**

Badanie, użyczenie, przechowywanie **35**

W kniei i na salonach **37**

Selekcja osobnicza sarny **46**

Z pasją o słowach, z miłością o łowach **50**

Moja sztuka jest kobietą **56**

Nauka – łowiectwu, łowiectwo – nauce **62**

Wrocław – Bawaria **64**

im. Wiktora Szukalskiego **66**

Z apaszką na łowy **68**



Pasje – Wrocławski Magazyn Ekologiczno-Łowiecki
Wydawca: Zarząd Okręgowy Polskiego Związku Łowieckiego
we Wrocławiu
ul. Wodzisławska 10b, 52-017 Wrocław
tel.: 71 340 08 58, fax: 71 734 52 00
e-mail: zo.wroclaw@pzw.lw.pl
ISSN 2451-1641
Nakład: 1300 egz.
Kontakt do redakcji: pasje.pzl@gmail.com



Redaktor naczelny: Jacek Seniów
Rada Programowa: prof. Roman Kolacz (Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu) – przewodniczący, prof. dr hab. Tadeusz Trziszka (rektor Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu), prof. Józef Nicpoń (Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu), mgr inż. Adam Płakiej (nadleśniczy Nadleśnictwa Oleśnica Śląska), mgr inż. Grzegorz Pietruńko (nadleśniczy Nadleśnictwa Olawa), dr Stanisław Han (Hasco-Leś), mgr Marian Samojluk, mgr Roman Rycombel (Łowczy Okręgowy ZO PZŁ Wrocław)
Fotografia na okładce: Adobe Stock
Opracowanie graficzne: GRART
DTP: Tomasz Stasiak
Druk: KEA Wrocław

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam, ogłoszeń, listów i materiałów sponsorowanych. Redakcja ma prawo odmówić zamieszczenia ogłoszenia i reklamy, jeśli ich treść lub forma są sprzeczne z linią programową bądź charakterem pisma (art. 36, p. 4 Prawa prasowego) oraz interesem wydawnictwa. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów przyjętych do druku oraz prawo nieodpłatnego publikowania listów. Redakcja zastrzega sobie również możliwość nieodpłatnego wykorzystania publikowanych materiałów na własnych stronach internetowych i stronach wydawcy. Przedruki z magazynu Pasje dozwolone są wyłącznie za uprzednią zgodą Wydawcy.



Jerzy

Rozmawiał: Jacek Seniów

Zdjęcia: Jerzy Górski

i Tomasz Stasiak

Jerzego Górskiego poznałem 40 lat temu jako przystępujący do egzaminu adept sztuki łowieckiej, w Zarządzie Wojewódzkim Polskiego Związku Łowieckiego we Wrocławiu. Młody, szczupły, zdecydowany w ruchach, „pistolet” trzymający nas, zdających, na dystans. Budzący niepokój, a może i rodzaj strachu. Szybko się okazało, że za tą maską lub nawet tarczą kryje się dusza człowiek o olbrzymiej wiedzy łowieckiej. Przełamanie pierwszych lodów i ta wiedza popłynęła jak rzeka. Podobało mi się, że na wiele tak zwanych pewników znajdował „ale...” Budziło to nie tylko zaciekawienie słuchaczy, lecz także ich twórczy niepokój, zmuszający do własnych poszukiwań i przemyśleń. Myślę, że słusznie. Łowiectwo to przyroda, natura, a czy ona jest jednoznaczna, jak wiele ludzkich „jedynych” słusznych teorii? Z perspektywy lat przekorna, niepokorna, zachwycająco różnorodna i nader cierpliwa dla ludzkich wybryków.

Jurku, najserdeczniejsze gratulacje!

– **Członkostwo honorowe Polskiego Związku Łowieckiego jest dla każdego myśliwego uhonorowaniem jego związkowej aktywności. Nadane przez Krajowy Zjazd Delegatów, reprezentujący całą polską brać łowiecką, jest wyrazem uznania dla osiągnięć jej członka. Jak trafiłeś na myśliwskie szlaki?**

– W mojej rodzinie nie było tradycji łowieckich. Wprawdzie wujek był leśnikiem, ale po II wojnie światowej już nie polował. W spadku po Nim pozostały mi wyciory, szczotki, miarki do prochu i kitki do kapeluszy kupione jeszcze przed wojną we Lwowie. Natomiast brat wujka Tadeusza – Stanisław Madeyski, był komisarycznym prezesem WRŁ we Wrocławiu w latach 1948–1949, znanym hodowcą jamników krótkowłosych i sędzią kynologicznym. Mój kontakt z lasem i polem to w wieku 7–8 lat wyjazd z wuj-

kiem w okolice Mszany Dolnej, gdzie widywałem sarny, zające, ich tropy, a w czasie mroźnej i śnieżnej zimy widziałem w okolicy miejscowości Niedźwiedź wilka. W tym też czasie miałem po raz pierwszy kontakt z dubeltówką. Znajomy myśliwy w Mszanie Dolnej, Kotarba, pozwolił mi strzelić do wrony, która odleciała cała, a ja pociągając za dwa spusty równocześnie, wylądowałem na ziemi. Jako mieszczuch początkowo z Zawiercia, a potem z Krakowa, nie miałem kontaktów z polem lub lasem, ale zawsze w domu odchowywałem pisklęta wróbli, zięb, kulczyków, a także miałem oswojoną kawkę. Stale interesowałem się bronią i już w drugiej klasie miałem wiatrówkę, a w Krakowie chodziłem do sklepu sportowego położonego na rogu Rynku i ul. Floriańskiej, w którym było stoisko z bronią myśliwską i sportową; była to głównie broń produkcji czechosłowackiej. Sytuacja zmieniła się, gdy przeprowadziłem się w 1955 roku do Środy Śląskiej, gdzie za płotem miałem pola i staw, a tym samym kontakty z bytującymi tam zwierzętami. Poznałem też myśliwego, pana Henryka Grzywińskiego, z którym czasami chodziłem na kuropatwy. Łowiectwem na dobre zainteresowałem się w liceum, gdzie języka rosyjskiego uczył śp. prof. Kazimierz Krzyżanowski, łowczy powiatowy, który był moim przyszłym opiekunem w Kole „Odyniec” w Środzie Śląskiej. Egzamin łowiecki zdałem przed maturą i już w sierpniu polowałem na kaczki.

– **To łowiectwo Twoich początków, a teraz?**

– W 1959 roku weszła w życie ustawa „O hodowli, ochronie zwierząt łownych i prawie łowieckim”. Wstępując do PZŁ w 1960 roku, byłem uczestnikiem dostosowania struktur koła do nowej sytuacji, która była dla nas bardzo korzystna, bo z automatu koło otrzymało dwa obwody utworzone z terenów, na których dotychczas polowano. Koło miało obowią-

zek prowadzenia gospodarki łowieckiej tylko na części polnej obwodów, natomiast w lasach obowiązek ten przypisany był nadleśnictwom. Szacowaniem szkód zajmowały się Lasy, ale mało się o nich słyszało. Biurokracja w kołach była ograniczona do minimum, a w aktach koła znajdowały się umowy dzierżawne, plany łowieckie, zatwierdzone przez prezydium powiatowych rad narodowych, umowy o pracę ze strażnikami oraz dokumentacja dotycząca ewidencji pozyskania, składek członkowskich. Środki finansowe były najczęściej przechowywane przez skarbników na książeczkach PKO. Aby uporządkować te sprawy, ZG PZŁ chyba pod koniec lat 60. wprowadził instrukcję w sprawie prowadzenia dokumentacji w kołach łowieckich, która była prosta i czytelna.

W porównaniu do lat 60. koła stały się przedsiębiorstwami, a ich zarządy dyrekcjami, które różnią się tylko tym, że ich członkowie pracują społecznie.

– Praca w Związku, po pracy relaks na polowaniu. Życie będące w dużej mierze życiem Związku. Jaki był on wtedy, a jakim go widzisz teraz?

– Pracę w ZW PZŁ rozpocząłem w dość osobliwych okolicznościach, bo w prasie przeczytałem ogłoszenie, iż poszukiwany jest pracownik i tak od sierpnia 1962 do roku 2001 (odbywając w międzyczasie służbę wojskową) przepracowałem w Związku 36 lat. Potem przeszedłem na rentę z uwagi na stan zdrowia. W okresie tym byłem członkiem NRŁ w latach 1996–2010, członkiem Komisji Statutowej oraz Komisji Wystaw i Oceny Trofeów Medalowych NRŁ, delegatem na Krajowe Zjazdy Delegatów, a na terenie województwa łowczym wojewódzkim, przewodniczącym Komisji Hodowlanej, Szkoleniowej, Egzaminacyjnej, Kynologicznej i Oceny Trofeów oraz członkiem ORŁ. W kole zaś przez 27 lat byłem członkiem zarządu, pełniąc kolejno funkcje sekretarza, skarbnika i prezesa koła. Zrezygnowałem z dalszej pracy w zarządzie z uwagi na objęcie funkcji łowczego wojewódzkiego.

Praca w ZW PZŁ pozwoliła mi poznać ponad 200 istniejących wtedy kół (do 1975 roku) oraz dzierżawione przez nie obwody z bogactwem zwierzyny, szczególnie drobnej. Miałem również „zaszczyt” spotkać na Śnieżniku – terenie obwodu Koła „Lis” w Bystrzycy – dwa głuszce, cietrzewie i jarząbki, a w Borach Dolnośląskich w okolicach Osiecznicy i Wierzbowej głuszce. W Osiecznicy zasadziłem dla śp. prof. Jerzego Krupki, byłego Przewodniczącego ZG PZŁ, głuszca, który dekorował Jego gabinet w Warszawie. Na tokowisku cietrzewi w Kole „Pięt-nastka” z Wrocławia, którym nie przeszkadzało, że w okolicy stacji PKP w Węglińcu słychać było zapowiadane pociągi, mogłem podziwiać turnieje czarnych rycerzy, ale też dwukrotnie spotkałem tam

koguta bażanta, który zalecał się do cieciorok. Czy miałbym taką okazję, nie będąc myśliwym?

Trudno zapomnieć polowania na gęsi i kaczki w scenerii stawów milickich w kołach „Darz Bór” i „Mewa” z Milicza i obserwacji orłów bielików, które wtedy tylko tam można było spotykać. A zbiornik w Mietkowie na terenie obwodu Koła „Jarząbek” z tysiącami zimujących tam gęsi zbożowych i białoczelnych? Nie mogę zapomnieć też polowania na daniele w Kole „Jeleń” w Miliczu, kiedy w czasie bekowiska tuż za płotem leśniczówki w Gogołowicach miałem przez trzy dni pełny przegląd populacji, w tym kilku pięknych łopataczy i chociaż nie oddałem strzału, to pamiętam każdego byka i miejsce, gdzie doszło do spotkania.

Fascynowały mnie odłowy żywych zajęcy, które nieraz, pomimo opracowywanych strategii, potrafiły wykiwać myśliwych, nagankę i tzw. łapaczy. Odłowy pozwalały na zdobywanie znacznych środków finansowych, tak potrzebnych kołom na wypłaty odszkodowań, kiedy przejęły one od Lasów ten obowiązek. A rykowiska w moim kole to też niezapomniane przeżycia, które rzadko kończyły się zyskaniem trofeum (zdobyłem brązowomedalowego selekta), ale często z rykowiska przywoziłem rzuty medalowych byków. Ile satysfakcji dawało mi zwabienie byka, rogacza czy lisa, a zwłaszcza utrwalenie takiego spotkania na kliszy aparatu. Przeżyłem też idące pole – czekając o świcie na lisa przy drenach na terenie OHZ Bielany, w pewnej chwili zobaczyłem na horyzoncie dziwną chmurę, która po jakimś czasie zniknęła. Okazało się, że to tysiące kaczek z Wrocławia i okolic przyleciało na rzyso po kukurydzy.

Pytasz, jaki był Związek dawniej, a jaki jest obecnie. Uważam, że poprzedni okres charakteryzowała większa stabilność prawa, była mniejsza biurokracja, a choć na najważniejsze stanowiska władze też przysyłały swoich kandydatów, to nie spotkałem się z sytuacją, aby ludzie ci działali przeciwko Związkowi, a odwrotnie – robili wszystko, by mu pomagać. Mniej też było zasłużonych, a więcej kolegów i przyjaciół. Ale były też ujemne strony, na przykład mobilność myśliwych. Ja początkowo do obwodów jeździłem rowerem, autobusem, pociągiem, a już luksusem była wuefemka, którą na polowania jeździłem też zimą. Problemem była również dostawa zwierzyny do punktów skupu, gdyż był tylko jeden odbiorca – Przedsiębiorstwo „Las” we Wrocławiu. Zwierzynę wysyłało się także pociągami.

Jako Związek byliśmy lepiej zorganizowani i w sprawach istotnych zajmowano jedno stanowisko. Pamiętam, jak przed uchwaleniem ustawy w 1995 roku wojskowe koła łowieckie zorganizowały się w Warszawie i protestowały przeciwko zmianie modelu naszego łowiectwa. Uważam, że Związek przetrwa, bo nawet

w ekstremalnych warunkach II wojny działał w podziemiu, by już w roku 1945 przystąpić do odbudowy struktur. Musimy przetrwać wszechobecną biurokrację, niestabilność prawa, nękanie legalnie działającej organizacji przez pseudoekologów. Może ktoś z rządzących zrozumie, że nie zabija się kury znoszącej złote jaja, oszczędzając skarbowi państwa grube miliony. Ale też Związek obroni się wtedy, gdy będziemy mówić jednym głosem i pokazywać, że jesteśmy jedną z nielicznych organizacji społecznych działających na rzecz środowiska przyrodniczego.

Plusy obecnego okresu to mobilność myśliwych, szeroki dostęp do broni, sprzętu optycznego oraz możliwość polowania na całym świecie tymi środkami, którym pomogła dobra zmiana.

– Kilka lat temu odłożyłeś broń, swoją słynną splichalówkę, a wziąłeś do ręki aparat fotograficzny. Przejaw łowieckiego pacyfizmu?

– Zawsze interesowałem się bronią, bo egzemplarze znanych firm to często dzieła sztuki. Sam jednak zaczynałem swoją przygodę z rosyjską kurkówką, bo na taką tylko było mnie wtedy stać. Jednak przez moje ręce przeszło siedemnaście sztuk broni, a polowania zakończyłem z kniejówką Merkla z wymiennymi lufami śrutowymi kal. 20. Miałem też dubeltówkę z polskim pochodzeniem – krakowskiego rusznikarza Splichala syna, który, bazując na półproduktach firm belgijskich, wykonywał piękną broń z imitacją pełnych zamków i grawerunkiem w postaci angielskiej arabeski. Miałem w swoich rękach broń marzeń – dubeltówkę Holland-Holland, Defourny, Lebeau, Puredey, Frankota, Forgerone, a także ekspresy Springera i Novotnego oraz pięknego boka i vierlinga Meferta. Dodam jeszcze, że u Splichala na początku lat 50. kupowałem śrut do wiatrówki, a rusznikarnia mieściła się na ul. Sławkowskiej; nie wiedziałem, że kiedyś będę miał wykonaną przez niego dubeltówkę. Niestety, wiek i zdrowie robią swoje i zamieniłem broń na aparat. Od czasu do czasu, przy mniejszym już wysiłku, udaje mi się odstrzelić jakąś zwierzynę lub obejrzeć fantastyczne wschody i zachody słońca – dla nich choćby warto było zostać myśliwym.

Przejaw pacyfizmu łowieckiego? Wydaje mi się, że z wiekiem większość myśliwych staje się ludźmi wrażliwymi i nie ma już inklinacji do zdobywania trofeów za wszelką cenę. Samo zaś polowanie jest traktowane jako odpoczynek i kontakt z przyrodą. Mnie do ewentualnej zmiany postawy sprowokowałby np. rogacz – cudak, tak jak to było ze starym Gotszalkiem, który za jednym myłkusem chodził cały sezon.

Inną sprawą jest ścieranie się poglądów na różne zagadnienia, które zawsze powinno doprowadzać do porozumienia. Zdarzało się, że czasami mieliśmy różne zdania na jakąś sprawę, np. przeniesienia siedzi-

by na strzelnicę. Przyznaję, że miałeś rację, bo dzisiaj z uwagi na korki w centrum miasta siedziba w nim to tragedia. Poza tym chcę z pełną odpowiedzialnością stwierdzić, że ostatnie piętnaście lat to dynamiczny rozwój naszego Okręgu: doprowadzona do wzorowego stanu strzelnica, sygnaliści, rozwój strzelectwa i kynologii – naprawdę bardzo dużo zrobiono dobrego. Jednak poprzedni okres miał zupełnie inny wymiar, np. poligrafia – to, co dzisiaj robi się na komputerze, kiedyś zamawiano w drukarni, a więc i wyższe koszty, i znacznie dłuższe terminy.

Inną korzystną zmianą jest wymiana na nowych działaczy potrafiących poruszać się po meandrach obecnych uwarunkowań i ujawnienie drzemających w nich zdolności organizacyjnych oraz zaangażowania. Chcę jednak jasno powiedzieć, że nie wolno odbierać zasług tym, którzy tworzyli podwaliny Związku na naszym terenie. Nie będę wymieniał nazwisk, aby kogoś nie pominąć lub subiektywną oceną nie skrzywdzić. Brak jest mi natomiast szczególnie śp. Jacka Kaucza, którego zaangażowanie, entuzjazm i efektywność działania również i mnie bardzo pomagały w czasie pracy w ZW PZŁ.

Leśnicy – nie sposób zapomnieć o kolegach, z którymi współpracowałem przez prawie pięćdziesiąt lat i mimo wielu trudności, wynikających najczęściej z odgórnych poleceń, tak Regionalna Dyrekcja, jak i nadleśnictwa i poszczególni leśnicy zawsze znajdowali rozwiązanie korzystne dla obu stron. Chylę przed nimi czoło i mam nadzieję, że dalej będziemy wspólnie działać na rzecz polskiej przyrody.

Na zakończenie chcę powiedzieć, że mimo zawrotu, jaki mnie spotkał, czuję się niekomfortowo, bo nic epokowego nie zrobiłem – byłem łowieckim urzędnikiem, który brał pieniądze ze składek członków, choć faktem jest, że niewiele niedziel spędzałem w domu, ale cóż – taki wybrałem zawód. Chcę, abyś to wyraźnie zaznaczył.

Korzystając z okazji, tą drogą pozdrawiam wszystkich myśliwych z Dolnego Śląska i dziękuję im za pomoc oraz sympatię, a robiliśmy to wszyscy dla dobra PZŁ.



Szkody, szkody...

Odszkodowania za szkody łowieckie w ujęciu historycznym na przykładzie Austrii i Prus

Tekst: Witold Daniłowicz

W okresie wędrówek ludów, czyli wtedy, kiedy plemiona germańskie przemieszczały się na zachód i na południe Europy, dziczyzna była podstawą pożywienia, a polowanie – życiową koniecznością. Dlatego też wszyscy członkowie plemienia musieli mieć możliwość jej pozyskiwania. Z chwilą jednak, gdy plemiona wybrały życie osiadłe i podstawą ich wyżywienia stały się rolnictwo oraz hodowla zwierząt, nie było już takiej konieczności. Wtedy też zaczęła się wykształcać prywatna własność ziemi. Wraz z nią pojawiło się zróżnicowanie uprawnień w zakresie wykonywania polowań. Wspólnoty gminne i właściciele dóbr ziemskich zaczęli ograniczać możliwość wykonywania polowania na nich przez obcych. Puszcze powoli stawały się własnością wspólnot terytorialnych (tzw. opoli), w których prawo pozyskiwania zwierzyny przysługiwało wyłącznie ich członkom.

Związek prawa własności ziemi z prawem do polowania nie trwał jednak długo. Wkrótce bowiem władcy i arystokracja plemienna zaczęli ograniczać możliwość wykonywania polowania przez innych członków społeczności na ziemiach podległych ich władztwu. Zrywanie związku pomiędzy prawem do polowania i własnością ziemi oraz postępujące równoległe ograniczanie tego prawa nasiliło się w okresie późnego średniowiecza. W rezultacie tego procesu wykształcił się system, w którym prawo do polowania na najbardziej pożądaną zwierzynę (łac. *animalia superiora*, niem. *Hohejagd*) należało do władcy terytorialnego, czyli suwerena, a na inną zwierzynę (łac. *animalia minuta*, niem. *Niederejagd*) – do pomniej-

szej szlachty w jej dobrach. Chłopom i mieszczanom prawo do polowania zasadniczo nie przysługiwało, aczkolwiek czasami mieszcianie mogli polować w lasach należących do miasta, a chłopci na niektóre gatunki ptaków i na szkodniki.

Przyznanie wyłącznego prawa do polowania na wszystkie lub określone gatunki zwierząt osobom innym niż właściciel ziemi miało poważne konsekwencje ekonomiczne. Duże stany zwierzyny w lasach cieszyły myśliwych, ale utrudniały chłopom wypasanie tam świń, które konkurowały o pokarm z dzikami. Zakaz polowania uniemożliwiał też właścicielom zasiewów obronę przed szkodami wyrządzanymi przez zwierzynę. Sprawę dodatkowo pogarszał obowiązujący w niektórych rejonach zakaz odstraszenia zwierzyny. Jednocześnie mieszkańcy wsi musieli znosić szkody wyrządzone w uprawach przez myśliwych w trakcie polowań. Biorąc pod uwagę, że ówczesne polowania odbywały się konno, z większą liczbą jeźdźców i sforą psów, wyrządzone szkody mogły być istotne. Taka sytuacja doprowadzała wiele wsi do ruiny gospodarczej.

Znaczne obciążenie dla mieszkańców wsi stanowiły też powinności pańszczyźniane związane z łowiectwem. Były one bardzo zróżnicowane. Obejmowały między innymi obowiązek zapewniania noclegu i pożywienia myśliwemu wraz z jego towarzyszami łowów (prawo stanu), zajmowania się jego liczną sforą (psiarskie), transportowania narzędzi łowieckich (np. sieci czy namiotów) na polowanie (przewód łowiecki), wywozu upolowanej zwierzyny

z lasu własnymi środkami transportu, a także utrzymywania służb leśnych.

Przywileje łowieckie warstw wyższych i pozbawienie możliwości polowania warstw niższych były jednym ze źródeł poważnych konfliktów społecznych wstrząsających Europą Zachodnią od początku XVI wieku. Doszło wówczas do pierwszych w Niemczech powstań chłopskich na tym tle. Ich kulminacją była wojna chłopska, która wybuchła w 1524 roku w Szwarzwaldzie i objęła całe południowe i środkowe Niemcy. Żądania wysuwane przez zbuntowanych chłopów dotyczyły między innymi ograniczenia powinności związanych z łowiectwem, możliwości obrony przed szkodami wyrządzanymi przez zwierzynę i możliwości otrzymania odszkodowania z tego tytułu.

Żądania rekompensaty za szkody łowieckie pochodziły nie tylko od chłopów. Również mieszczenie i szlachta, pozbawieni prawa do polowania w pełnym zakresie, domagali się od władców podjęcia środków zaradczych. Przykładem może być sytuacja w Styrii, gdzie w 1575 roku panujący tam austriacki arcyksiążę Karol, w odpowiedzi na skargi stanów styryjskich zarządził, aby tym, którzy ponieśli „nadmierne szkody od zwierzyny”, były one im wynagradzane. Rozwiązanie to najwyraźniej nie spełniło pokładanych w nim przez stany nadziei, albowiem kolejne skargi wskazywały, że problem nadal pozostawał nierozwiązany. Stało się tak najprawdopodobniej dlatego, że urzędnicy książęcy bardzo rzadko uznawali zgłaszane szkody za „nadmierne”.

Chcąc ulżyć poddanym, cesarz Józef II wydał w 1771 roku rozporządzenie, na mocy którego rekompensaty za szkody łowieckie w Austrii miały być przydzielane nie w normalnym trybie procesowym, a na zasadzie słuszności (*ex aequo et bono*). Piętnaście lat później, w 1786 roku, ten sam cesarz wydał patent regulujący całościowo kwestie łowieckie, w którym sprawie szkód wyrządzanych przez zwierzynę poświęcono wiele uwagi. Według nowych przepisów dziki mogły być trzymane wyłącznie w zamkniętych zwierzyńcach, natomiast poza nimi były traktowane jako szkodniki, takie jak wilk czy lis, które każdy mógł strzelać lub pozyskiwać w inny sposób. W rezultacie w okresie obowiązywania tego patentu, tj. praktycznie do końca monarchii austro-węgierskiej w 1918 roku, dziki występowały na jej terenie tylko w zwierzyńcach.

Według zasad z 1786 roku urzędnicy powiatowi mieli też za zadanie dopilnować, aby osoby, którym przysługiwało prawo do polowania, nie dopuszczały do nadmiernego wzrostu stanu zwierzyny. Z kolei właściciele gruntów otrzymali prawo wznoszenia ogrodzeń, jak również kopania rowów dla ochrony

zasiewów przed zwierzyną. Mogli też odpędzać ją z pól w dowolny sposób. Szkody wyrządzone przez zwierzynę w płodach rolnych, winnicach i drzewach owocowych były wynagradzane w naturze albo w pieniądzu. Ich wysokość była szacowana przez osoby bezstronne. Wysokość odszkodowania określał urząd powiatowy.

W Prusach pierwszą ogólnokrajową regulacją łowiecką było Powszechne prawo krajowe dla państw królewsko-pruskich z 1794 roku (tzw. Landrecht pruski). Zawierało ono postanowienia „o szkodach przez dzikiego zwierza zrzadzonych i zapobieżeniu onymże”. Wprawdzie chłopci nadal nie mogli zabijać zwierząt niszczących im pola, ale dostali prawo ich odstraszenia. Każdy właściciel ziemi mógł na podstawie tych przepisów odstraszać zwierzynę „przez kłapki, wystawione straszidła, przez płoty i małe, czyli pospolite domowe psy”. Stosowane w tym celu płoty musiały być jednak tak urządzone, aby nie ranić zwierząt. Nie wolno też było „pod pozorem odstraszenia przez to dzikich zwierząt, puszczać samopas psy pospolite bez knybla na szyi”.

Prawo pruskie nakładało także obowiązek zabezpieczenia przed szkodami łowieckimi sąsiadujących gruntów na tych właścicieli rewirów łowieckich (zwanych w polskim tłumaczeniu „obredami”), którzy hodowali w nich zwierzynę grubą w dużych ilościach („zwierza wielkiego polowania w nadzwyczajnej mnogości”). Jeżeli właściciel zaniechał podjęcia takich kroków, odpowiadał za szkody wyrządzone przez nią na gruntach sąsiedzkich.

Wprowadzane powoli zmiany w regulacjach łowieckich nie rozwiązywały jednak wszystkich problemów. Narastające na tym tle konflikty społeczne doprowadziły w rezultacie do całkowicie nowego uregulowania tych kwestii. Przełomowe znaczenie miała w tym względzie rewolucja francuska 1789 roku. W jej przededniu prawo do polowania we Francji nadal stanowiło przywilej nadawany przez króla szlachcie. Jednym z żądań rewolucjonistów było upowszechnienie tego prawa. W sierpniu 1789 roku, w czasie szalejącej w czasie rewolucji rebelii chłopskiej, Konstytuanta uchwaliła dekret przyznający każdemu prawo polowania na swoim gruncie. Wprawdzie w ten sposób liczba osób uprawnionych do polowania bardzo się zwiększyła, ale przyjęte rozwiązanie było dalekie od realizacji żądania pełnej wolności polowania. Zdecydowana większość Francuzów nadal nie mogła polować, albowiem właścicielami ziemi była głównie szlachta.

Kilkanaście dni później Konstytuanta uchwaliła Deklarację praw człowieka i obywatela. W art. I stanowiła ona, że „ludzie rodzą się i pozostają równymi w prawach”. Artykuł IV definiował zaś, na czym pole-

ga wolność: „Wolność polega na możliwości czynienia wszystkiego, co nie szkodzi drugiemu; w ten sposób wykonywanie praw naturalnych każdego człowieka nie ma innych granic niż te, które zapewniają korzystanie z takich samych praw innym członkom społeczeństwa”. W rezultacie stało się oczywiste, że prawo do polowania przysługiwało każdemu. Nikt nie przejmował się ograniczeniem wynikającym z uchwalonego kilka dni wcześniej dekretu, że można je realizować tylko na własnej ziemi. Wiadomość o tym, iż zniesiono przywileje łowieckie szlachty (w tym także powinności łowieckie chłopów), spowodowała, że masy chłopskie ruszyły do lasów w pogoni za zwierzyną. Jak pisał we wspomnieniach jeden z uczestników tych wydarzeń: „jelenie, sarny, dziki, zające i króliki były zabijane tysiącami, pieczone na ukradzionym drewnie i zjadane na miejscu”.

Rewolucyjne ustawodawstwo francuskie w zakresie łowiectwa miało duży wpływ na inne kraje europejskie. Przede wszystkim rozciągnięto je na Belgię i Luksemburg, które zostały wcielone do Francji w 1795 roku. Później armia napoleońska wprowadziła je na terytoriach, które dostały się pod okupację francuską, w tym także w wielu państwach niemieckich. Po klęsce Napoleona wrócono wprawdzie do dawnych regulacji, tym niemniej ziarno rewolucyjne zostało już zasiane. Dało ono plon w kolejnym pokoleniu.

Eliminację przywilejów łowieckich w państwach niemieckich przyniósł dopiero okres rewolucji 1848 roku. Tak zwana kwestia łowiecka, czyli dostęp do myślistwa i zniesienie powinności łowieckich, była – podobnie jak w czasie rewolucji francuskiej – jednym z głównych żądań mieszkańców wsi w tym okresie. Zajęło się nim niemieckie Zgromadzenie Narodowe zwołane we Frankfurcie nad Menem. Problemy łowieckie ujęto w dwóch dokumentach: w ustawie o prawach podstawowych narodu niemieckiego i w Konstytucji Cesarstwa Niemieckiego. Zgromadzenie Narodowe zniósło wszelkie powinności łowieckie na terenie państw niemieckich. Prawo do polowania przyznano zaś właścicielom gruntów: „Uprawnienie do polowania na własnym gruncie wywodzi się z własności gruntu”. Jednocześnie zakazano polowania na cudzym terenie. Prawo regulowania łowiectwa pozostawiono poszczególnym państwom niemieckim.

W rezultacie tych przemian, zapoczątkowanych przez rewolucję francuską, a w państwach niemieckich urzeczywistnionych w okresie Wiosny Ludów, prawo do polowania stało się powszechnie dostępne w większości państw europejskich. W tym samym czasie zniesiono prawo do polowania na cudzym gruncie. Od tego momentu pojęcie prawo do polowania zaczęło zanikać – skoro przysługiwało ono każ-

demu, nie było powodu, aby poświęcać mu uwagę. Pojawiło się natomiast nowe określenie – prawo polowania, czyli wyłączne prawo właściciela gruntu do polowania na swojej ziemi. Przemiana ta miała istotne konsekwencje dla kwestii szkód łowieckich. Skoro każdy właściciel ziemi uzyskał prawo do wykonywania polowania, to mógł sam dbać o to, aby zwierzyna nie wyrządzała szkód na jego polach.

Stan taki nie trwał jednak długo. Przyznanie prawa do wykonywania polowania wszystkim właścicielom ziemskim, niezależnie od wielkości posiadanego gruntu, doprowadziło w państwach niemieckich, podobnie jak we Francji w 1789 roku, do anarchii i tak zwanych wówczas „ekscesów łowieckich”. Liczba myśliwych gwałtownie się zwiększyła, a stany zwierzyny zaczęły raptownie maleć. Zaistniała sytuacja zaczęła też zagrażać bezpieczeństwu publicznemu. W rezultacie pojawiły się ustawowe ograniczenia w możliwości wykonywania polowania.

Badenia była pierwszym krajem niemieckim, który już w 1848 roku oddzielił prawo wykonywania polowania od prawa polowania. O ile prawo polowania nadal przysługiwało wszystkim właścicielom nieruchomości gruntowych, o tyle osobiste wykonywanie tego prawa przysługiwało tylko tym właścicielom, których posiadłości spełniały ustawowo określone minimum obszarowe. W 1850 roku rozdział prawa polowania od prawa do wykonywania polowania wprowadzono w Prusach i Bawarii, a później także w innych państwach niemieckich. Dalszy rozwój tej zasady doprowadził do wykształcenia się w państwach niemieckich systemu rewirowego, funkcjonującego do dziś.

W systemie rewirowym właściciele większych posiadłości ziemskich (minimalna wielkość jest określana przez ustawę) mogą tworzyć na nich tzw. obwody własne i wykonywać tam polowanie. Mniejsze nieruchomości w poszczególnych gminach są łączone w obwody wspólne, w których prawo wykonywania polowania przysługuje gminom lub spółdzielniom łowieckim, których członkami są, z mocy ustawy, właściciele wszystkich nieruchomości włączonych do danego obwodu. Gminy lub spółdzielnie muszą wydzierżawić przysługujące im prawo lub powierzyć wykonywanie polowań zatrudnionemu łowczemu. Ponieważ właścicielom małych gospodarstw nadal przysługuje prawo polowania (utracili tylko prawo do wykonywania polowania), są oni z tego tytułu uprawnieni do proporcjonalnego udziału w czynszu dzierżawnym uzyskiwanym z wydzierżawiania prawa do wykonywania polowania.

W rezultacie tych przemian kwestia szkód wyrządzonych przez zwierzynę wymagała nowego ure-

gulowania ustawowego. Właściciele mniejszych gospodarstw utracili prawo wykonywania polowania osobiście, a tym samym nie mogli skutecznie chronić swoich pól. W Prusach uznano, że odszkodowania za szkody tego typu powinny być w związku z tym przedmiotem uregulowań kontraktowych z dzierżawcą prawa wykonywania polowania. Dlatego też pruska ustawa z 1850 roku stanowiła, że poszkodowanemu nie przysługuje ustawowe roszczenie o odszkodowanie z tego tytułu, wskazując jednocześnie, że odpowiedzialność tę może przejąć dzierżawca obwodu łowieckiego przez odpowiednie postanowienia zawarte w umowie dzierżawy. W Austrii kwestie te uregulował patent cesarski z 1849 roku. W kwestii szkód wprowadził on generalną zasadę, że właścicielowi gruntu przysługuje odszkodowanie zarówno za szkody wyrządzone przez zwierzynę, jak i w trakcie polowania, od uprawnionego do jego wykonywania.

Pod koniec XIX wieku pojawiły się bardziej szczegółowe regulacje dotyczące odpowiedzialności za szkody wyrządzane przez zwierzynę. W Prusach była to ustawa z 1891 roku o szkodach łowieckich, która utrzymała ogólną zasadę, że za szkody na danej nieruchomości gruntowej odpowiada ten, komu przysługuje prawo wykonywania na niej polowania. Ponieważ w przypadku mniejszych gospodarstw, włączonych do obwodów wspólnych, prawo wykonywania polowania przysługiwało teraz gminie lub spółdzielni łowieckiej, to one zostały zobowiązane do kompensowania szkód wyrządzonych przez zwierzynę. W gruncie rzeczy, co było wyraźnie powiedziane w ustawie, odpowiedzialnymi za kompensację tych szkód byli wszyscy właściciele ziemscy posiadający grunty na terenie obwodu wspólnego, proporcjonalnie do wielkości swoich gruntów. Odpowiedzialność tę mogli oczywiście przenieść na dzierżawcę obwodu łowieckiego w drodze umowy dzierżawy. W przypadku jednak, gdy kwoty płacone przez dzierżawcę nie wystarczały na pokrycie całości szkód, nadwyżkę pokrywali właściciele gruntów. Nowością było ograniczenie obowiązku odszkodowawczego do szkód wyrządzonych tylko przez niektóre gatunki zwierzyny – dzika, jelenia, łosia, daniela, sarnę i bażanta.

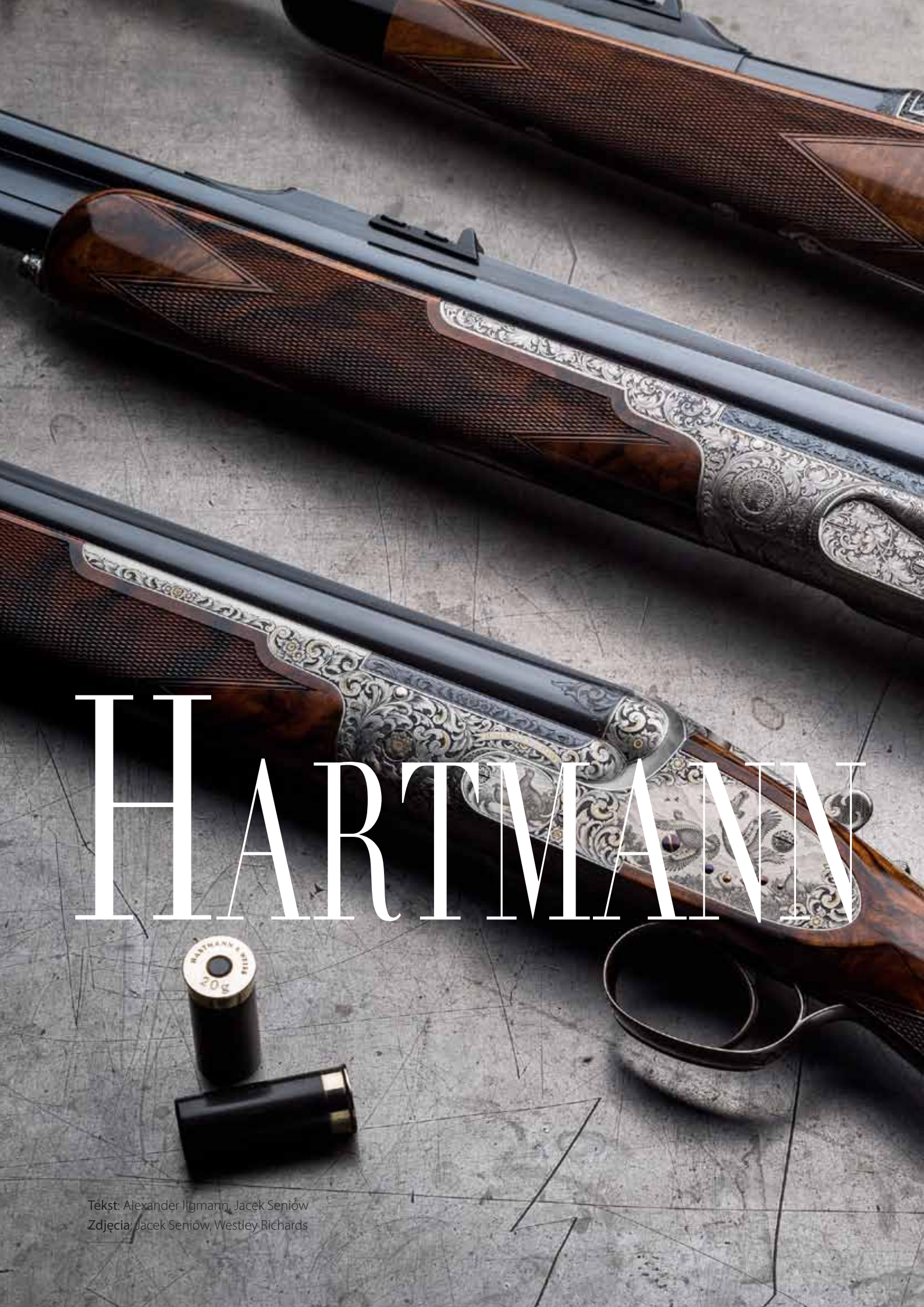
Opisany wyżej system obowiązuje zasadniczo w Niemczech do dziś. Model pruski został przejęty przez ogólnoniemiecki kodeks cywilny (tzw. BGB), obowiązujący w całym Cesarstwie Niemieckim od 1900 roku. Gatunkami wyrządzającymi szkody, za które przysługiwało odszkodowanie, były, tak samo jak w ustawie pruskiej, dzik, jeleń, łos, daniel, sarna i bażant. Istotną zmianę w tym zakresie wprowadziła dopiero w 1934 roku ustawa łowiecka Rzeszy, która rozszerzyła tę listę na wszystkie zwierzęta

kopytne i dzikie króliki, ale usunęła z niej bażanta. Te zasady i zakres odpowiedzialności zostały utrzymane przez obowiązującą dzisiaj federalną ustawę łowiecką z 1952 roku (która jednakże przywróciła na tę listę bażanta).

Jeśli chodzi o Austrię, to pod koniec XIX wieku w monarchii austro-węgierskiej pojawiły się silne tendencje federalistyczne, których skutkiem, w odniesieniu do łowiectwa, było przeniesienie kompetencji regulacyjnych na władze poszczególnych krajów wchodzących w skład monarchii. W rezultacie weszło w życie szereg lokalnych ustaw łowieckich, które w kwestiach zasadniczych były jednakże bardzo podobne do siebie. W odniesieniu do szkód łowieckich wszystkie one nakładały odpowiedzialność za ich kompensację na uprawnionego do wykonywania polowania. Pod pojęciem tym w monarchii austro-węgierskiej rozumiano jednak nie gminę czy spółdzielnię, ale dzierżawcę obwodu łowieckiego (czy właściciela obwodu własnego). Ten model regulacyjny funkcjonuje w Austrii po dziś dzień (z krótką przerwą, kiedy obowiązywała tam ustawa łowiecka Rzeszy z 1934 roku). Austria nie ma więc jednej ustawy łowieckiej na poziomie federalnym, a kwestie łowieckie są regulowane przez ustawodawstwa poszczególnych landów.

Podsumowując można stwierdzić, że zarówno w Niemczech, jak i w Austrii obowiązuje bardzo podobny model odpowiedzialności za szkody łowieckie wyrządzone przez zwierzynę. W obu przypadkach odpowiada za nie uprawniony do wykonywania polowania. Różnica polega na tym, że o ile w Niemczech pojęcie to oznacza tego, komu prawo to przysługuje z mocy ustawy (a więc gminę albo spółdzielnię łowiecką), o tyle w Austrii pod pojęciem tym rozumie się dzierżawcę tego prawa, czyli dzierżawcę obwodu łowieckiego. W praktyce różnica nie jest może aż taka istotna, albowiem w Niemczech odpowiedzialność ta jest przenoszona na dzierżawców obwodów przez odpowiednie postanowienia w umowie dzierżawy.

Istotną różnicą pomiędzy modelem niemieckim i austriackim pozostaje jednak zakres odpowiedzialności. O ile w Niemczech jej górna granica jest z reguły określona w umowie dzierżawy obwodu (albo wysokość odszkodowań jest określona ryczałtowo), o tyle w Austrii jest ona nieograniczona. Co więcej, o ile w Niemczech odpowiedzialność za szkody wyrządzone przez zwierzynę obejmuje tylko szkody poczynione przez niektóre, ustawowo określone gatunki, o tyle w Austrii odpowiedzialność ta obejmuje wszystkie szkody. Można więc przypuszczać, że te różnice mogą znaleźć swoje odbicie w wysokości czynszu dzierżawnego płaconego za obwód łowiecki.



HARTMANN

Tekst: Alexander Ilgmann, Jacek Seniów
Zdjęcia: Jacek Seniów, Westley Richards



& WEISS



Gerhard Hartmann i Otto Weiss, ludzie, których przyjaźń i wspólna firma wyrosły z zamięłowania do rusznikarstwa przez duże „R”. Rusznikarstwa opartego na znajomości głębi tradycji, szacunku dla perfekcji wykonywanej pracy, niepokoju ducha poszukującego coraz to doskonalszych rozwiązań technicznych i technologicznych, któremu nieobce jest, a wręcz pożądane, piękno estetyki wykonywanej broni. Ciągłe tryskający energią i humorem, goniący żart żartem, dziarscy w ruchach i pełni entuzjazmu oraz nowych pomysłów dwaj panowie w wieku... Pozostawmy ten wątek jego własnej nieistotności w tym przypadku.

W 1965 roku założyli w Hamburgu firmę wytwarzającą broń myśliwską światowej klasy. Ta broń i jej walory doprowadziły do naszego spotkania.

– *Otto, Twoja rusznikarska przygoda rozpoczęła się w firmie Merkel w Suhl.*

– Tak, w 1952 roku, czyli w dobie późnego stalinizmu. Maszyny i pracownicy z okresu przedwojennego, roczniki, których nie zaciągnięto do Wehrmachtu. Merkel miał w ogóle dużo szczęścia. Rosjanie masowo demontowali i wywozili całe zakłady przemysłowe jako łupy wojenne. Merklowi na „opiekuna” trafił się oficer sowiecki, który był entuzjastą broni, szczególnie myśliwskiej. Znał wartość pracy i rzemiosła rusznikarskiego. Udało mu się nie dopuścić do demontażu fabryki i zakład wznowił przedwojenną produkcję broni myśliwskiej. Mamy u nas w firmie taki jeden rarytas, słynną nadlufkę 303 z 1946 roku

z pełną metryką. Jest naszym skarbem. System mechanizmów ukończono 9 marca 1946, łożo 17 czerwca 1946, całość złożono 5 listopada 1946, a klientowi dostarczono 6 maja 1947 roku według metryki. Biorąc pod uwagę nasze współczesne terminy, był to ekspres, 13 miesięcy i gotowe. W papierach jest informacja o zamontowaniu lunety, ale ta gdzieś znalazła nowego opiekuna w wirze czasu. Ponieważ granice nie były jeszcze tak szczelne, jak potem, to przez „zieloną” udało mi się dostać do Szwajcarii. U importera Merkla miałem załatwioną pracę. Po dwóch latach wyruszyłem dalej, do Anglii – do Purdeya. Angielska broń i ich rusznikarstwo zawsze mi imponowało swoją twórczością konstrukcyjną oraz doskonałością i pięknem wykonania. Miałem tam przyjaciela Petera Nelsona, który ułatwił mi kontakty. Poznanie ich warsztatów było moim marzeniem, niezapomnianą lekcją doskonałego rzemiosła. U Purdeya kontynuowałem prace nad nadlufkami, które zawsze mnie pociągały, korzystając z ich doświadczeń, a szczególnie z dorobku konstrukcji Bossa. Zainteresowałem się też kolbiarstwem, któremu poświęcam i teraz dużo czasu. To fascynująca praca z materiałem, jakim jest drewno ze wszystkimi swoimi urokami rysunku słoja, jego granulacją graficzną, a czasem i niespodziankami tajemnic tworzywa.

– *Gerhardzie, nim zeszły się Wasze drogi...?*

– Ja zaczynałem tu, w Hamburgu, u śląskiego rusznikarza Franciszka Cieplika. Był katolikiem i pięknie grał na skrzypcach. Po trzech i pół roku nauki pojechałem do Austrii, do Ferlach. Po półrocznej nauce w specjalistycznej szkole zacząłem pracować jako

kolbiarz w bardzo znanej wtedy firmie Josefa Winklera. Pamiętam, że zawsze było tam dużo dobrego humoru. Stałym momentem gry był występ starej szefowej. Jak przychodził Merkel do naprawy kolby albo dorobienia luf wymiennych, to stawiała z tą bronią uniesioną nad głową i wołała do nas: „Czemu wy czegoś takiego nie potraficie zrobić?!“ Widzisz, zakłady w Ferlach bardzo ceniły sobie dorobek konstrukcyjny Merkla. Prawdę mówiąc, to miały wtedy problem z osiągnięciem takiego poziomu jak on i lubiły korzystać z merklowskich patentów. Szefowa o tym wiedziała i nie omieszczała nam tego wypominać, a dotyczyło to jednostek powojennych z lat 50. i 60., gdy tam pracowała jeszcze stara gwardia. Z Ferlach znów zawitałem do Hamburga, do firmy Vandrey przy ulicy Colonnade, jednej z najlepszych ulic nad rzeką Alster. Lokalizacja firmy w mieście dodawała jej prestiżu. Tu u Vandreya, po jeszcze jednej wizycie w Austrii, spotkałem Ottona, który wrócił z Anglii z uwagi na swojego ojca. Zaczęliśmy współpracować. Vandrey zajmował się w zasadzie tylko naprawami, a dla nas to było za mało. Nam się marzyła produkcja broni od A do Z, jak to się mówi, i to broni odpowiedniej klasy. Obaj mieliśmy już swoje spostrzeżenia, pewne doświadczenie skonfrontowane z realiami praktycznymi w różnych firmach o różnej tradycji. Podróże uczą wszechstronnie, a nasze wyklarowały to, czego pragnęliśmy i pokazały kierunek. Zaczęło się w 1965 roku i trwa do dzisiaj.

– **Jak było na początku?**

– Jak to na początku, ale myśmy już byli znani w kilku istotnych dla rusznikarstwa miejscach. Rzadkością, a może to był i ewenement, jest, aby angielski rusznikarz pracował w niemieckiej firmie. Tak było z poznanym w Purdeyu, a wspominanym w wielu

książkach poświęconych angielskiemu i europejskiemu rusznikarstwu Peterem Nelsonem. Prawie pięć lat, aż jego dzieci dorosły do wieku szkolnego, pracowaliśmy razem tu, w Hamburgu. Jak wyjechał do Anglii, to założyliśmy tam wspólnie firmę. Był angielskim partnerem Hartmann & Weiss. To o czymś świadczy. Szliśmy tą wspólną drogą osiemnaście lat, budując razem broń po obu stronach Kanału. Broń, o którą zabiegali klienci z Europy, USA i nie tylko.

– **Świat się zmienia, zmieniają się techniki i technologie produkcji. Jaki jest u Was stosunek tradycji do nowoczesności?**

– Sto procent tradycji! Anglicy, co Otto przywiózł do Hamburga, zawsze mieli specyficzny stosunek do tradycji, a szczególnie jeśli chodzi o broń gładkolufową lub ekspresy kulowe. Dołączyliśmy do tego kierunku. Czasami mówią, że jesteśmy bardziej angielscy niż oni. W tamtych starych czasach powstały fundamentalne konstrukcje broni. Wszystko, co przyszło potem, zmierzało do racjonalizacji produkcji, obniżenia kosztów, tanizny. Dla zachowania tradycji i z powodów sentymentalnych kupiliśmy dwanaście lat temu firmę Nagel z całym jej dorobkiem konstrukcyjnym. W tym system Heerena z 1880 roku, który stosujemy z powodzeniem w łamanych pojedynczych broniach kulowych.

– **Mielicie też istotną przysgodę z systemem Mausera?**

– Anglicy stosowali długie systemy mauserowskie w broni wielkokalibrowej do afrykańskich polowań, na przykład Rigby tak robił, no i inni. Mając klienta na taką broń, na początku kupowaliśmy na aukcjach takie jednostki wracające z kolonii. Potem włączaliśmy je do nowo budowanych jednostek. W 1980 roku byliśmy pierwszą niemiecką firmą, która zbudowała





długi zamek mauserowski do broni wielkokalibrowej. Oparliśmy się na oryginalnych rysunkach Mausera. Mogliśmy, bo wygasł patent. W tym roku włączyliśmy też do produkcji system Hagna do broni łamanej jednostrzałowej, a od 2007 roku wytwarzamy pojedynki z eżektorami.

– Broń dobra, a doskonała, wspaniała?

– Jest bardzo dużo dobrej broni o różnej konstrukcji, która absolutnie spełnia wszelkie wymagania praktyczne. Broni produkowanej seryjnie. Ale są jednostki szczególnie starannie wypracowane, czasami niezwyklej konstrukcji. Choć tu chodzi o coś innego, jakby intymnego. W tych egzemplarzach czuć ducha ręcznego dopracowania szczegółu. Są jakby aksamitne w pracy mechanizmów i w dotyku. Staranność wykonania przenosi jakby osobę wytwórcy na jego dzieło. Do tego dochodzi odpowiedniej klasy drewno, co się przekłada na piękno rysunku usłojenia, no i grawerunek zdobiący części metalowe lub barwne ich hartowanie. To jest rękodzieło robione na wymiar. Angolicy mówią na to „bespoken gun”, co oznacza, że nabywca każdy szczegół omawia z wykonawcą i otrzymuje coś absolutnie indywidualnego, co może być jego osobistą wizytówką. Kiedyś jeździliśmy sami do Turcji wybierać drewno. Teraz handlarze drewnem przyjeżdżają do nas, ale to my wybieramy każdy kawałek z osobna, a potem to samo robi klient, kiedy dobieramy drewno do jego broni. Sami też dobieramy stal. Głównie jest to stal firmy Böhler

z Austrii. To właściwie w tej chwili jedyny zakład, który jeszcze się stara o stal lurową specjalnej specyfiki. Inne rodzaje stali są normowane, mają numery i czy są zamawiane w Chinach, w Rosji czy gdziekolwiek, to zawsze mają ten sam skład. Produkowaliśmy już systemy broni z polskiej stali. Przychodziła w blokach z dokładną specyfikacją składu. Böhler jest firmą tradycyjną, która produkuje też stal historyczną, np. do starych Merkli. Dlatego preferujemy tę firmę. Mamy pracowników, ale od pewnego momentu sami już pracujemy nad danym egzemplarzem.

– Patrzę na wspaniałe grawerunki zdobiące Wasze bronie. Ich charakter zależy od wymagań klienta, jego intencji i pomysłów. Ale na to nakłada się też smak, kunszt i doświadczenie grawera. Wiele z nich oprócz przywiązania do tradycji ma też w sobie coś nowoczesnego, choć obraz tradycyjny. Widzę też młode twarze Anji Dammenhayn i Floriana Güllerta, którzy nam towarzyszą.

– Tak, wykończenie grawerskie dopełnia broń, nadaje jej indywidualny charakter, a nieraz przekazuje innym intencje zamawiającego albo spełnia jego własne ego lub odbija marzenia. Niejeden egzemplarz powierzyliśmy słynnemu Alainowi Lovenbergowi. To fakt, że Anja i Florian są ludźmi młodymi, szczególnie przy nas (tu salwa śmiechu), ale są też bardzo doświadczonymi artystami w swoim fachu, o dużym dorobku. Pracowali i nadal pracują również dla innych słynnych europejskich wytwórni broni po obu stronach Kanału. Nasi klienci







Życzenia klientów bywają niecodzienne. Pojedynczy sztucer łamany z osadą z kości mamuta w trakcie prac nad nim





Od lewej: Otto Weiss, Gerhard Hartmann, Florian Güllert i Anja Dammenhayn

zachwycają się subtelnością i precyzją ich dzieł oraz inwencją w tworzeniu obrazów dla każdej broni. Jak rzekliśmy, tak jak wytwórca przenosi siebie na dzieło starannością swojej pracy, tak i oni tchną młodego ducha w starą, dobrą tradycję.

O broni, a w zasadzie o sztuce tworzenia wybitnego rzemiosła artystycznego, można by bez końca, coraz to odnajdując interesujący wątek. Trudno też rozstać się ze wspaiałą, bezpośrednią, przyjacielską

atmosferą firmy Hartmann & Weiss, jej urokliwymi właścicielami, wspaiałymi gawędziarzami, bogatymi wiedzą tak praktyczną, jak i historyczną europejskiego rusznikarstwa.

Skoro gość ma swoje prawa, to powinien też mieć i obowiązki, a my ich nie zaniedbując, pożegnaliśmy się, licząc p cichu, że to nie było nasze jedyne spotkanie.

Krajowo i zbiorowo

Tekst i zdjęcia: Jacek Seniów

Na maj, na rogacze, czekamy wszyscy z utęsknieniem. Na te niekończące się ptasie trele przesączone odurzającymi zapachami kwitnących bzów, czeremch, tarnin czy rzepaków, wonią kipiącej nowym, pełnym nadziei życiem przyrody. Potok radości życia. Staramy się rozwiązać zagadkę czy „zeszłoroczny” arcyostrożny myłkus zmienił ostoję czy nie? Kto zawładnął nową uprawą leśną i którą na nią chadza?

Cieniem padającym na te radości myśliwskiego życia są realia ekonomiczne gospodarki łowieckiej. Dlatego zdecydowana większość kół łowieckich zaczyna nowy sezon od spotkania z komercyjnymi gośćmi. Czas wszystko łagodzi, to i do tego jako pewnego stałego elementu gry można się przyzwyczaić.

A tu niespodzianka z Dalkowskich Wzgórz, zupełnie przeciwieństwo. W 1972 roku grunty jednego

z obwodów łowieckich na miedziodajnej ziemi polkowskiej obejmuje, w tymże roku założone, Koło Łowieckie „Knieja” z Lubina. Obwód niespecjalnie duży, o powierzchni ciut powyżej czterech i pół tysiąca hektarów na mało urodzajnych glebach V i VI klasy, z 1700 hektarami gruntów leśnych. Głównie ubogie bory sosnowe. Nadzieją tchnęły fragmenty lasów mieszanych Wzgórz Dalkowskich w północno-wschodniej części. W terenie miasto Polkowice, pięć wsi, cztery szyby kopalniane KGHM, a przez środek przecina go droga krajowa S3. Rewelacji jak widać nie ma. Sprawnie i przemyślanie prowadzona gospodarka łowiecka, a w tym 9,5 km pasów zaporowych czy 11 ha łowieckich poletek żerowych, zgryzowych i kultywowanych łąk, prowadzona rękoma 34 myśliwych i jednego stażysty pozwala na pozyskiwanie 10 jeleni, 11 danieli, 45 saren, a w tym 20 rogaczy i 100 dzików. W obwodzie od sześciu lat bytuje na stałe wataha wilków, a jego krajobraz urozmaicają dzieła ośmiu bobrzych rodzin.

Wracając do naszych rogaczy, to zaczynają na nie łowy polowaniem zbiorowym... Tak, polowaniem zbiorowym, na które zapraszają licznych gości krajowych i niekomercyjnych. Ktoś zaprotestuje – „ale na rogacze polujemy indywidualnie”. Okazuje się, że można też inaczej, nic nie ujmując prawu łowieckiemu.

Polowanie rozpoczyna się spotkaniem w „Kniejówce”, kolibie koła w Suchej Górze. Towarzyszy mu bogaty program związany tematycznie z łowiectwem. W tym roku licznie zgromadzonym gościom z okolicznych kół łowieckich i innych zakątków Polski tajniki szlachetnej sztuki wabienia zwierza wszelakiego przybliżył Sławomir Pawlikowski z Klubu Wabiarzy Zwierzyny. Państwo Kamila i Radosław Milkowscy z Polskiego Gniazda Sokolników wprowadzali nas w świat ptaków łowczych. Towarzyszyły temu wystawy rękodzieła związanego tematycznie i surowcem z tradycją łowiecką. Zwracały uwagę dzieła Jerzego F. Donca, Janusza Skrętkiewicza i Krzysztofa Sobczaka.

Spotkanie rozpoczęło złożenie wyrazów pamięci i szacunku przy mieszczącym się na posesji „Kniejówki” kamieniu pamiątkowym poświęconym członkom koła, którzy już odeszli na wieczne łowy. Wśród nich niezapomnianemu z kultury bycia, poczucia humoru i wiedzy łowieckiej nestorowi legnicko-lubińskich





myśliwych Bronisławowi Karpinie. Od tego roku Majowe Koziołki w lubińskiej „Kniei”, a to już ich osiemnasta edycja, będą nosiły Jego imię.

Po części dydaktycznej łowczy koła Norbert Wende zaopatruje wszystkich w odstrzały i wyruszamy w knieję, na ambony. Tu gwarna i wonna naturą „cisza” skłaniająca tak do radości z otoczenia, jak i do rozmyślań. Jak widać, można inaczej.

Zmierzch gromadzi łowców w „Kniejówce”. Przy blasku smolnych zniczy pokot oddający cześć zwierzynie i laur królowi polowania. Tradycyjny wspólny posiłek z dań kuchni myśliwskiej i towarzyszące mu niekończące się dywagacje o zajmujących grono te-

matach. Takim spotkaniom zawsze towarzyszy muzyka myśliwska. Temu wspianą oprawę dał znany już ze swego kunsztu zespół reprezentacyjny Zarządu Okręgowego Polskiego Związku Łowieckiego we Wrocławiu – „Tryton”.

Myśliwi doskonale zdają sobie sprawę z wagi kontaktów ze społeczeństwem, a o ich poziomie tu, w lubińskiej „Kniei”, świadczy fakt, iż w przygotowanie imprezy zaangażowały się panie z Rady Sołeckiej. Pogłębianiu kontaktów służył towarzyszący łowom roboczy kongres sołtysów, któremu przewodził Sołtys Roku 2019 województwa dolnośląskiego Stanisław Gnat. Znakomita okazja do wymiany poglądów



na wspólne tematy dla wsi i łowiectwa, a inicjatywy oddolne, jak wiemy, są najtrwalsze i tematycznie trafione. Całość tego bogatego 18-letnią tradycją przedsięwzięcia pokazuje szerokie możliwości i wielorakie efekty aktywności społecznej. Szkoda, że ostatnio coraz częściej niedocenianej lub pomijanej.

Nemrodi z lubińskiej „Kniei”, których działaniami kieruje zarząd w składzie: Józef Gawluk – prezes, Norbert Wende – łowczy, Robert Domański – skarbnik, Piotr Kuźdeba – sekretarz, wspomagani przez komisję rewizyjną, której przewodzi Piotr Szeniuk, dobrze o tym wiedzą. Gratulujemy, tak trzymać!



Za szaraka płacimy z satysfakcją...

...mówią myśliwi Koła Łowieckiego „Cyranka” w Środzie Śląskiej

Tekst: Jacek Seniów

Zdjęcia: KŁ „Cyranka”,

Ryszard Adamus, Jacek Seniów

Odbudowujące się po II wojnie światowej życie społeczne nie ominęło i łowiectwa. W 1946 roku w położonej na zachód od Wrocławia Środzie Śląskiej powstało koło łowieckie dzierżawiące tereny 13 gmin leżących na obszarze powiatu średzkiego. Dekret o prawie łowieckim Prezydenta Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z 1952 roku spowodował podział dzierżawionego obwodu pomiędzy trzy jednocześnie nowo zawiązane przez średzkich myśliwych koła łowieckie: „Cyrankę”, „Daniela” i „Odyńca”. Znaleźli się wśród nich również wrocławscy myśliwi. Świadczy to o wzrastającej liczbie nemrodów i działań łowieckich przez nich podejmowanych. Były to obwody znaczne obszarowo i dopiero w latach 60. po powstaniu kolejnych kół mających swoje tereny łowieckie na ziemi średzkiej nastąpił stan istniejący do dzisiaj.

Średzka „Cyranka”, która obecnie liczy 63 członków, gospodaruje na dwóch obwodach polnych o łącznej powierzchni 12 000 ha, przy 1100 ha gruntów leśnych leżących w obszarze gmin Kostomłoty i Środa Śląska. Lesistością grzeszy obwód numer 192, który na swoje 6000 ha ma aż 1000 ha lasów mieszanych Chwalimierza i Piersna. Grunty orne cechuje wysoka kultura uprawy zbóż, w tym kukurydzy, buraków cukrowych. Spotykamy tu jelenie szlachetne, daniela, sarny i dziki oraz zwierzynę drobną, która stanowi oczko w głowie cyrankowych myśliwych.

Ponieważ zdecydowana większość myśliwych mieszka w Środzie Śląskiej, obwód ten położony kilkanaście minut drogi od niej cieszy się największą popularnością. Tu też padły pierwsze w kole rekordy w pozyskanych trofeach. Srebrnomedalowe byki jelenia Kolegów Karola Cisorza i Ryszarda

Filusa oraz dziczy oręż Kolegi Ryszarda Sikory wyceniony na 117,49 punktów CIC.

Obwód numer 221 to 100 ha lasu Bogdanowa i Stróża zatopionych w bezmiarze pól wielkotowarowej gospodarki rolnej. Ta wielkołanowa prowadzona na bardzo dużych zwartych arealach gospodarka rolna z jednej strony jest zburą myśliwych, jeśli spojrzymy na nią z punktu widzenia trudu i nakładów na zwalczanie szkód łowieckich, a z drugiej miejscem modelowej współpracy z lokalnymi społecznościami. Nieoceniona jest w niej posiadana w miejscowości Godków w obrębie łowiska Bogdanów wiata. Z jej zalet korzystają nie tylko myśliwi, ale również okoliczne dalsze i bliższe społeczności. Tu organizowane są ciekawe projekty, jak rajdy piesze i inne imprezy rekreacyjne organizowane przez lokalne społeczności czy edukacyjne spotkania młodzieży szkolnej. Do tradycji przeszły cyklicznie odbywające się zakończenia roku szkolnego dla dzieci rolników z pobliskich wsi.

Dmuchańce, wiatrówkowa strzelnica, pieczone kiełbaski i słodczy znacznie wpływają na zrozumienie przez obie strony problemu szkód łowieckich. Są też okazją wielu rozmów, przedstawienia wzajemnie nurtujących problemów, w tym dotyczących ochrony środowiska naturalnego. Powstają pomysły wspólnych działań. Podstawową zwierzyną jest sarna kusząca medalowymi sukcesami Kolegów: Karola Cisorza, Tadeusza Fedorczyka i Roberta Gołębia.

Minusem obwodu wpływającym na życie wszelkich zwierząt jest droga A4 stanowiąca barierę, w zasadzie nie do przebycia, na drodze naturalnych migracji. Myśliwym daje to czasem niepowtarzalne okazje do spotkania z wilkiem, łosiem czy jeleniem szukającymi nowych miejsc do życia.

Przed 67 laty w obwodach „Cyranki” królowała zwierzyna drobna. Koledzy pozyskiwali przede wszystkim zajęce, kuropatwy, bażanty, kaczkę i gęsi nie mówiąc już o drapieżnikach jak lis czy kuna. Okraszała to swoją powagą sarna. Pozyskanie dzika lub jelenia było sensacją. Wieść o tym lotem błyskawicy obiegała nie tylko „Cyrankę”, ale i sąsiednie koła, obligując hubertowskiego wybrańca do podzielenia się sukcesem – kiełbasą.

Tak było do końca lat 80. Zmiana struktury rolnej zasiewów i sposobu ich prowadzenia oraz mniejszy udział rolników indywidualnych na rzecz gospodarki wielkotowarowej stworzyły warunki sprzyjające zwierzynie grubej, wpływając na regres zwierzyny drobnej, no i nowy problem skali szkód łowieckich. Zmniejszona różnorodność upraw, powstanie nawet kilkusethektarowych monokultur, np. kukurydzy, likwidacja łąk między polami, zakrzewień lub nawet mniejszych remiz, zmieniły warunki pokarmowe i osłonowe dla zwierzyny drobnej.

Początek lat 90. XX wieku to moment w historii „Cyranki”, kiedy myśliwi z własnej inicjatywy zaprzestali łowów na szaraka. Czy ktoś wtedy lub dwa, trzy lata wcześniej uwierzyłby, że zamiast polowań i odłowów zasilających kasę kółkowej gospodarki łowieckiej będą sami kupować kopyry i wpuszczać do łowisk?

Duża grupa nemrodów miała problemy z odnalezieniem się w nowej sytuacji. Były też teorie spiskowe o sprowadzeniu z zagranicy wycofanych tam wcześniej środków ochrony roślin, przeterminowanych, co w efekcie miało wytruć całe populacje sympatycznego szaraka, który do tej pory towarzyszył nam przez cały rok gdzie tylko okiem sięgnąć. Podobnie stało się z kuropatwą. Młode pokolenie myśliwych uczy się o tych gatunkach na kursie łowieckim, nigdy nie trzymając ich w ręku.

Mimo braków funduszy, dumą koła jest to, że podjęło się trudu odbudowy populacji zajęcy, nie zapominając o innej zwierzynie drobnej. Początkowo zakupy zajęcy odbywały się raz do roku i były finansowane wyłącznie przez myśliwych. Ich zaangażowanie i upór, starania o poprawę warunków środowiskowych dla zwierzyny drobnej zostały zauważone przez Starostwo Powiatowe i Urząd Gminy, które za-

częły wspomagać starania nemrodów. Zaczęto od 20–40 sztuk introdukowanych rocznie, aby dojść do 200 sztuk w sezonie 2017/2018, co już wsparł Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej we Wrocławiu.

Czy było warto? Teraz widać, że tak. Ale na początku zarząd koła spotykał się nieraz z krytyką. „Znakomita i nietania dziczyzna dokarmiacie drapieżniki” – mówili niektórzy oponenci i na starcie to tak mogło wyglądać. Zaczęto od intensywnej redukcji drapieżników. Miejsca wsiedleń były starannie dobierane z uwagi na bazę pokarmową i możliwość schronienia przed ptactwem drapieżnym. Kompleksowe zajęcie się tematem, zgłębienie fachowej literatury oraz otwartość na doświadczenia praktyków zajmujących się tą tematyką przyniosły rezultaty. Coraz częściej, początkowo zauważany przez myśliwych,

później rolników, a obecnie i wszystkich innych korzystających z uroków przyrody szarak znów stał się stałym elementem obwodów „Cyranki”.

Dzisiaj koło dochowało się całkiem sporej populacji zajęcy, co nie znaczy, że tęskni za polowaniami, ale wie na pewno, iż nie zaprzestanie dotychczasowych działań. Wie też, że warto było! Dla „naszej małej ojczyzny”, jak nazywają swoje obwody, i dla przyrody. Żartobliwie podkreśla się fakt, iż w ostatnim roku po raz pierwszy w historii koła została zgłoszona

szkoda łowiecka od zajęcy, którą zapłacili z prawdziwą satysfakcją. Wszystko to dzieje się pod batutą zarządu działającego w składzie: Robert Gołąb – prezes, Krzysztof Staśko – łowczy, Norbert Smela – skarbnik oraz Maciej Głowacki – sekretarz.

Wielu myśliwych średzkiej „Cyranki” jest aktywnie zaangażowanych w działalność organizacyjną Związku, działając w komisjach problemowych, jakie istniały przy Okręgowej Radzie Łowieckiej we Wrocławiu. Nowelizacja ustawy Prawo łowieckie prawie całkowicie zlikwidowała ciała społeczne Związku na szczeblu okręgu. Niemniej dorobek nemrodów pozostał. W Kolegium Odznaczeń był Kolega Andrzej Prandecki, w Komisji Strzeleckiej Kolega Grzegorz Czajkowski, w Komisji Szkoleniowej Koledzy Robert Gołąb i Kosma Sabina, w Komisji Kultury, Tradycji i Zwyczajów Kolega Karol Cisorz jr. W Okręgowej Ra-







Od lewej: Norbert Smela – skarbnik, Robert Gołqb – prezes zarządu, Krzysztof Staśko – łowczy



dzie Łowieckiej zasiadał Kolega Grzegorz Czajkowski, Kolega Kazimierz Smela przewodniczył Okręgowej Komisji Rewizyjnej, a śp. Kolega Antoni Gołąb był w Zespole Okręgowego Rzecznika Dyscyplinarnego. Toteż nie dziwią liczne odznaczenia łowieckie, jakimi wyróżniono myśliwych z „Cyranki”: 2 Żetony Złomu, 4 Złote Medale Zasługi Łowieckiej, 12 Srebrnych i 23 Brązowe oraz 23 odznaczenia regionalne Zasłużony dla Łowiectwa Wrocławskiego.

Ważną datą w życiu koła było nadanie mu przez Okręgową Radę Łowiecką sztandaru – w 50. rocznicę założenia w 2003 roku. Ceremonii towarzyszyły sztandary okolicznych kół i Okręgowej Rady Łowieckiej we Wrocławiu, uroczysta msza, pochód myśliwych na średzkim Rynku oraz wystawa w Muzeum Regionalnym w Środzie Śląskiej (dawne Muzeum Rzemiosł Drzewnych, jedyne takie w Polsce) pokazująca 50-letni dorobek koła i 80-letnią historię Polskiego Związku Łowieckiego na ziemi średzkiej.





Niejednokrotnie, gdy rozmawiamy o „Cyranca”, pada pytanie o genezę nazwy koła. Ponieważ życie myśliwskie pełne jest legend, jedna z nich głosi, iż była to pierwsza kaczka, jaką w swoim życiu strzelił pierwszy prezes koła. Ze swojej strony dodam – gratulując Kolegom z „Cyranki” osiągnięć, a zarządowi Koła organizacji jego funkcjonowania – że niech tak pozostanie.

Płoszyć czy płacić?

Rozmowa z Marcinem Haremzą, autorem innowacyjnego urządzenia do ochrony upraw rolnych przed szkodami łowieckimi

Rozmawiał: Jacek Seniów

Zdjęcia: Marcin Haremza, Tomasz Stasiak

– Dlaczego łowiectwo, a nie wędkarstwo, filatelistyka, ogródek...?

– Członkiem PZŁ jestem od 2002 roku, ale od najmłodszych lat pasjonowałem się tą dziedziną życia, biorąc udział w polowaniach z moim Tatą i wujkiem. To oni już na początku szkoły podstawowej zabierali mnie na polowania i różne prace związane z łowiectwem. Tematyka ta była więc obecna w moim życiu od samego początku. Łowiectwo, oprócz samej pasji daje możliwość obcowania przyrodą i niesamowity relaks, zwłaszcza przy biurowym trybie życia, co jest dla mnie bardzo ważne. Lubię polować z podchodu, gdyż wymaga to więcej zaangażowania i niesie ze sobą więcej niepewności i wrażeń, a od samego myśliwego wymaga większego zaangażowania.

Oprócz łowiectwa drugim moim największym zainteresowaniem jest wspinaczka wysokogórska. Być może kiedyś uda mi się połączyć te dwie pasje i zapolować w górach.

– Zdaje się, że dla Ciebie łowiectwo to nie tylko hobby konsumowane, ale też inspirujące?

– Na co dzień jestem pracownikiem Politechniki Wrocławskiej. Pomagam firmom i naukowcom w nawiązywaniu współpracy i wspólnej realizacji projektów, które będą miały praktyczne zastosowanie. Uważam, że bardzo ważne jest, aby to, co stworzymy, rozwiązywało autentyczny problem i bezpośrednio pomagało w codziennym życiu. Moje doświadczenie praktyczne oraz wiedza z zakresu realizacji projektów badawczo-wdrożeniowych zaowocowały zbudowaniem urządzenia do odstraszenia zwierząt od upraw polowych. Każdy myśliwy i rolnik wie, jaki to może być problem. Sam jako myśliwy byłem zaangażowany m.in. w nocne dyżury i ochronę pól przed zwierzętami. Kosztowało to dużo środków i zaangażowania wszystkich kolegów z koła łowieckiego. Uznałem, że warto stworzyć urządzenie, które skutecznie wesprze myśliwych i rolników w tej często nierównej walce ze zwierzętami. Gdy wracałem z nocnego patrolu na

polach, w mojej głowie pojawił się pomysł budowy elektronicznego urządzenia nadającego różnego rodzaju biosoniczne sygnały dźwiękowe mogące skutecznie odstraszać zwierzęta (w pierwszej kolejności dziki). Prototyp Autonomicznego Odstraszacza Dzików (AOD), jak nazwałem to urządzenie, został skutecznie przetestowany we współpracy z Ośrodkiem Badania Zwierząt Łownych Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu przy wydatnej pomocy prof. Józefa Nicponia oraz kierownika Ośrodka pana Krzysztofa Hulewicza. Prace i testy wypadły bardzo pomyślnie. Głównymi założeniami budowy urządzenia były:

1. Skuteczna ochrona pól przed szkodami powodowanymi przez zwierzęta, dzięki czemu rolnik oraz koła łowieckie ponoszą mniejsze straty finansowe.

W tym celu, wspólnie z ekspertami, opracowałem szereg specjalnie dobranych zestawów dźwięków, jak najbardziej realistycznych z punktu widzenia zwierząt oraz niepowodujących przyzwyczajania się do tych urządzeń.

2. Możliwość ciągłej i autonomicznej pracy, dzięki temu dany obszar jest pod stałą kontrolą, a użytkownik nie musi martwić się o działające urządzenie. W tym celu AOD zasilany jest ze zwykłego 12-woltowego akumulatora samochodowego (pozwala on na pracę aparatu nawet przez dwa miesiące), po włączeniu działa całkowicie niezależnie. Specjalny układ elektroniczny steruje urządzeniem i nadaje sygnały.

3. Możliwość montażu praktycznie w dowolnym miejscu na polu oraz jego przestawiania w razie potrzeby. Większość obecnie stosowanych zabezpieczeń, np. gradzenia siatką lub pastuchem elektrycznym, zapobiegają wejściu zwierząt na dany teren. Ale co, gdy zwierzę sforsuje ogrodzenie? Bardzo często nie sposób go wygonić. AOD można postawić właśnie w środku pola, aby skutecznie „wyrzucało” zwierzęta poza kontrolowany obszar. W razie potrzeby możemy urządzenie przestawić w inne miejsce. Dzię-



Marcin Haremza ze swoim urządzeniem

www.odstraszanie dzikow.pl

ki temu mamy pewność, że nasz elektroniczny „stróż” jest zawsze tam, gdzie zwierzęta czują się najpewniej i gdzie mogą wyrządzić największe szkody.

4. Zabezpieczenie przed wandalizmem i warunkami atmosferycznymi, tak aby nie było obawy o prawidłowe funkcjonowanie urządzenia. Przykładamy też bardzo dużą wagę do wysokiej jakości wykonania wszystkich podzespołów.

Obecnie prowadzimy zaawansowane prace nad wykorzystywaniem niewielkiego panelu fotowoltaicznego do dodatkowego zasilania urządzenia, jak również źródeł światła, które będą wzmacniać efekt odstraszenia dźwiękiem. Planujemy też wprowadzić na rynek wersję z nadajnikiem GPS i sterowaniem po-



zez telefon komórkowy, tablet lub komputer. Jest też pomysł, aby urządzenie wykorzystywać podczas organizacji polowań zbiorowych jako elektroniczny naganiacz. Chcemy też opracować skuteczne dźwięki dla odstraszenia zwierzyny płowej, muflonów, dzikich gęsi oraz innych zwierząt.

Kilka urządzeń pracuje już komercyjnie m.in. w OHZ, szkółce drzew, u rolników indywidualnych oraz stacjach produkujących nasiona kukurydzy.

Nie ukrywam, że dużą satysfakcję daje mi realizowanie tego projektu, przede wszystkim dlatego, że chcę pomóc rozwiązać pewien ważny ekonomicznie i społecznie problem. Cieszę się, gdy odbieram informacje od obecnych użytkowników AOD, że są oni zadowoleni z funkcjonowania urządzenia i że sprawdza się ono w ich gospodarstwach.

– ...a tak ogólnie, jako myśliwy młodszego pokolenia, jak widzisz to wszystko?



– Łowiectwo zawsze mnie fascynowało i pociągało. Chcę też ten zapal przekazać mojemu jedenaastoletniemu synowi, który w lepszych czasach brał ze mną udział w polowaniach indywidualnych i zbiorowych. Widziałem jego radość przed każdym wyjazdem i wielkie zaangażowanie podczas wspólnie spędzanych chwil. Myślistwo to pasja, często wielopokoleniowa, którą warto przekazywać.

Cieszę się też, że mogę realizować zawodowe pomysły związane z myślistwem, takie jak budowa opisywanego powyżej urządzenia. Jest to też o tyle ważne, że mam nadzieję, iż polska myśl techniczna przyczyni się do wykorzystywania AOD przez wielu myśliwych i rolników nie tylko w Polsce, ale i na świecie.



KŁUSOWNIK

Tekst: Ziemowit Tokarski

Zdjęcie: Adobe Stock

Każdego roku, podczas targów łowieckich, organizujemy stanowiska łucznicze, gdzie każdy zainteresowany może m.in. zapoznać się z praktycznymi podstawami strzelania z nowoczesnego łuku bloczkowego, uzyskać odpowiedzi na pytania związane z myślistwem łuczniczym, obejrzeć nasze trofea i zdjęcia z wypraw. Pewnego razu przyglądałem się, jak moi koledzy instruuja kolejnych strzelających oraz opowiadają o naszych doświadczeniach łuczniczych. Akurat wokół naszej łucznicy zebrał się spory tłum, żywo komentując popisy jednego z instruktorów wspinającego się treestandem (przenośne nadržewne stanowisko myśliwskie) na pień drzewa, a następnie oddającego trzy precyzyjne strzały do makiety dzika z wysokości 6 metrów na dystans 20 metrów. Kiedy kolejne strzały układały się ciasno jedna przy drugiej na komorze dzika, tłum reagował kolejno: aprobatą, uznaniem, aplauzem... W pewnym momencie obok mnie zatrzymał się starszy jegomość objuczony reklamówkami i folderami wystawców, po czym nie zdając sobie sprawy, iż jestem jednym z instruktorów, konfidentjonalnie wyszeptał mi wprost do ucha: Panie kolego, niech tam kolega nawet nie paczy... to som kusowniki jakich mało. Kiedyś to samo było z tymi jaszczombami. Oni nam wszystko zwierzyne wytłukom tymy szczaliśmy – te uczniaki znaczy sie... I to po cichu, bo te ich uki to ciche som bardzo. Wspomni kolega moje słowa...

Uśmiech rozbawienia zakwitł mi od ucha do ucha. Odwróciłem się do jegomościa z zamiarem rzeczowego i spokojnego wyluszczenia mu kilku fundamentalnych prawd o używaniu łuku, ale na jego obliczu nagle wymalowało się zaskoczenie – zorientował się, że jestem ubrany identycznie jak pozostali instruktorzy. Lekko zmieszany, odwrócił wzrok, z rezygnacją machnął ręką, wysapał jeszcze jakiś nieartykułowany jęk zawodu, po czym zniknął w tłumie. W późniejszym czasie jeszcze wielokrotnie, choć nie aż tak barwnie i dosłownie, jak powyżej, spotykałem się z argumentacją, iż łuk będzie doskonałym narzędziem w rękach kłusowników... Cóż, moim skromnym zdaniem, pod względem ekonomicznym, dyskrejonalnym i efektywnym (a przede wszystkim niewymagającym żmudnych treningów jak i drobiazgowych przygotowań) – „tradycyjny” kawałek stalowego drutu na łeb bije najnowocześniejsze łuki myśliwskie w kłusowniczym rankingu. Tezę powyższą wywodzę m.in. stąd, iż pomimo ogromnej popularności i dostępności łuków bloczkowych, ja i moi koledzy z całego kraju, przy okazji prac gospodarczych, wciąż znajdujemy w lasach wnyki i „oczka”, natomiast jak do tej pory nie natrafiiliśmy w naszych łowiskach na strzałę czy na łucznika...

Incydentalne doniesienia prasy brukowej o rzekomych kłusowniczych postrzałkach łuczniczych najczęściej okazują się albo tzw. fake newsami bezkrytycznie powielanymi za zagranicznymi mediami, albo opisują faktyczne przykłady bezmiaru ludzkiej bezmyślności, kiedy to świeżo upieczony nabywca, najczęściej azjatyckiego pseudołuku,

postanawia „wypróbować” jego działanie na jakimkolwiek – niekoniecznie łownym – zwierzęciu, stając się jednorazowym kłusownikiem „z przypadku”. Jest to po prostu przejaw patologii – analogiczny do sytuacji opisywanych przez bulwarówki, kiedy to domorośli „snajperzy” strzelają z wiatrówek do przechodniów. Nie wierzę, aby ktokolwiek, kto ma jakiegokolwiek pojęcie o łowiectwie, a w szczególności posiadający doświadczenie w pozyskiwaniu zwierzyny, oddał ze sportowego zestawu łuczniczego strzał do zwierzęcia... Niestety, w obecnym stanie prawnym w Polsce praktycznie każdy – bez

względu na wiek czy stan zdrowia psychicznego – może przebywać w łowisku z dowolnym zestawem łuczniczym. Utrzymywanie się takiej sytuacji, idącej w parze z coraz powszechniejszym dostępem do sprzętu łuczniczego, w dłuższej perspektywie będzie rodzić chore, patologiczne „pokusy”, których fatalne „efekty” z pewnością staną się pożywką dla przeciwników łowiectwa.

Takie ryzyko może zoptymalizować jedynie legalizacja polowania z łukiem połączona ze ścisłą reglamentacją sprzętu łuczniczego wnoszonego do lasu oraz zasad jego użytkowania na potrzeby łowieckie.



Jednym z pomysłów jest oznaczanie promieni strzał w trwały sposób np. numerem legitymacji myśliwskiej łucznika uprawnionego do polowania z łukiem. Każdy inny przypadek przebywania w lesie z łukiem (z pewnymi wyjątkami, np. oficjalnie organizowane sportowe imprezy masowe – tzw. zawody łucznicze 3D) byłby jednoznaczny z naruszeniem przepisów prawa. Znakowanie strzał myśliwskich pozwoli ponadto podjąć skuteczną obronę przed zarzutami kierowanymi pod adresem środowiska myśliwych w przypadkach ujawnionych prób nielegalnego pozyskiwania zwierzyny nieoznakowaną strzałą czy budzących zrozumiałe emocje i szeroko komentowanych medialnie przypadków postrzałów z łuku zwierząt domowych.

Wracając natomiast do prawdziwych łusowników, trudniących się stale niecznym procederem bezprawnego wchodzenia w posiadanie zwierząt łownych, myślę, że śmieją się do łez, słysząc argumenty, że łuk jest idealnym narzędziem w ich „profesji”...

Podstawowa „wada” łuku to fakt, iż kompletnie nie nadaje się on do skrytego polowania w nocy. Można co prawda z odpowiednio przystosowanego łuku oddawać na krótkie dystanse strzały w ciemności, ale wyłącznie do nieruchomych celów (np. w przypadku konieczności dostrzelenia postrzałka). Łusownictwo z łukiem w ciągu dnia wystawiałoby sprawcę na ogromne ryzyko bycia wykrytym z uwagi na czas i wysiłek niezbędny do skutecznego pozyskania zwierzyny. Statystyki zarówno z Europy, jak i z USA jednoznacznie pokazują, że myśliwy łucznik w porównaniu do łowcy wyposażonego w broń palną potrzebuje w terenie średnio od 10 (zasiadka) do 20 (podchód) razy więcej czasu, żeby pozyskać zwierzynę. Najefektywniejszy sposób polowania, czyli zasiadka na drzewie, uniemożliwia łusownikowi szybką ucieczkę w przypadku wykrycia i powiadomienia odpowiednich służb. Z kolei昼enne polowanie z podchodu, przy dzisiejszym nasileniu w łowiskach ruchu turystycznego, zbieraczy runa leśnego, pracowników leśnych i samych myśliwych oraz coraz częstszego instalowania w lasach ukrytych kamer przez służby leśne, są równie o ile nie bardziej ryzykowne od zasiadki. Powyższe potwierdza badanie przeprowadzone przez amerykańską agencję U.S. Fish and Game praktycznie wykluczające łuk jako narzędzie zdadne do łusownictwa.

Nawet najnowocześniejsze technologicznie, bloczkowe łuki myśliwskie nadal pozostają urządzeniami wyjątkowo krótkiego zasięgu, gdzie z uwagi na uwarunkowania metodyki łuczniczej statystyczna odległość skutecznego strzału praktycznie nie przekracza 20 metrów, co zupełnie nie odpowiada potencjalnym celom łusowniczym. Ponadto, aby

ów strzał był celny z łuku, trzeba „niestety” regularnie ćwiczyć i to nie na komfortowej strzelnicy sportowej, ale w warunkach terenowych, symulujących realne sytuacje w łowisku. Systematyczne treningi z łukiem w terenie kompletnie nie pasują do profilu typowego przestępcy zorientowanego na skryte działanie.

W dzisiejszych czasach, za zaledwie część ceny profesjonalnego zestawu łuczniczego do polowania, praktycznie każdy może zostać posiadaczem bardzo zaawansowanych technologicznie narzędzi i akcesoriów takich jak tłumiki, lunety nokto- lub termowizyjne. „Nowoczesny” łusownik działa głównie pod osłoną nocy i często strzela nie wysiadając z samochodu (łuk nie nadaje się do strzelania z wnętrza auta), używając precyzyjnej broni palnej lub specjalnie wzmocnionej broni pneumatycznej zaopatrzonej w urządzenia optoelektroniczne oraz wytłumiające huk wystrzału. Dzięki powyższemu, skrycie skłusowana zwierzyna pada „w ogniu” i wystarczy sprawnie ją podjąć, a następnie natychmiast oddalić się z miejsca przestępstwa, natomiast nawet najefektywniejszy, precyzyjny strzał z łuku niemal zawsze wiąże się z koniecznością odczekania na miejscu około kwadransa, a następnie odnalezienia strzały i dopiero wówczas podjęcia poszukiwania zwierzyny na podstawie śladów pozostawionych na drodze ucieczki. Średni czas od prawidłowego, celnego strzału z łuku do podniesienia zwierzyny wynosi około 30 minut.

Po precyzyjnym, wytłumionym strzale z broni palnej praktycznie nie pozostaje żaden ślad pocisku, natomiast w przypadku strzału z łuku, oprócz obfitych śladów farby, w razie nieodnalezienia strzały sprawca pozostawia po sobie bardzo wyraźną wskazówkę. Mało kto wie, że na grafitowych promieniach profesjonalnych strzał myśliwskich znajdują się wypalone laserem, często ukryte, numery serii partii produkcyjnej, zaś na powierzchni całej strzały można z powodzeniem zabezpieczyć odciski linii papilarnych sprawcy (praktycznie nie sposób precyzyjnie strzelać z łuku w rękawiczkach). Na podstawie numeru serii produkcyjnych można wytypować osoby, które nabyły określony model strzał z danej partii w sklepie łuczniczym w dowolnym czasie, natomiast dzięki daktyloskopii można bezbłędnie wskazać osobę, która posłużyła się konkretną strzałą zabezpieczoną na miejscu zdarzenia (takie działania operacyjne stosuje się m.in. w USA w toku incydentalnie prowadzonych spraw o łusownictwo z użyciem łuku).

Wszystkie te czynniki jednoznacznie przesądzają o kompletnej nieprzydatności łuku w łusowniczej profesji i pomimo iż łucznicy nie mają nic wspólnego z łusownikami, to zarówno jednych, jak i drugich do łez rozbawiają opowieści o łuku jako idealnym narzędziu łusowniczym.

badanie • użyczenie

czyli trzy zagadnienia broni bliskie przechowywanie

Tekst: Wojciech Jurzyk

Przechowywanie broni

W dniu 1 października 2014 roku weszło w życie rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji z 26 sierpnia 2014 roku *w sprawie przechowywania, noszenia oraz ewidencjonowania broni i amunicji* (DzU z 2014 r., poz. 1224). Rozporządzenie to nałożyło na osoby fizyczne, które uzyskały po 1 października 2014 roku pozwolenie na posiadanie broni palnej – między innymi w celu łowieckim – obowiązek przechowywania broni i amunicji w urządzeniach spełniających wymagania co najmniej klasy S1 według normy PN-EN 14450, natomiast dla osób, które uzyskały pozwolenie na broń przed dniem wejścia w życie cytowanego rozporządzenia wprowadzony został pięcioletni okres na dostosowanie sposobu przechowywania broni do nowych przepisów.

Zatem od 1 października 2019 roku wszyscy myśliwi są zobowiązani do przechowywania swojej broni służącej do polowań według tych samych przepisów.

Rozporządzenie posługuje się nazwą „urządzenie do przechowywania broni”, ale jak wszyscy myśliwi doskonale wiedzą – należy przez to rozumieć kasetę, sejf albo szafę metalową. Producent takiego urządzenia jest obowiązany dołączyć do niego deklarację zgodności lub certyfikat zgodności z odpowiednimi polskimi normami, czyli dokument potwierdzający spełnianie przez to urządzenie wymogów co najmniej klasy S1.

W tym miejscu pojawia się pytanie: co zrobić w przypadku, gdy jest się w posiadaniu szafy metalowej o solidnej konstrukcji albo kasy pancernej wyprodukowanej wiele lat temu (a nawet przedwojennej), ale bez certyfikatu? Można tej szafy albo

kasy pancernej nadal używać do przechowywania broni po uzyskaniu stosownego certyfikatu (albo deklaracji) zgodności z odpowiednimi polskimi normami wydanego przez instytucję certyfikującą akredytowaną przez Polskie Centrum Akredytacji. Jedną z najbardziej znanych jednostek certyfikujących jest Instytut Mechaniki Precyzyjnej w Warszawie.

Z reguły myśliwi posiadają do dziesięciu jednostek broni, ale zdarzają się osoby, które mają więcej egzemplarzy broni palnej, gdyż oprócz broni służącej do polowań posiadają również broń kolekcjonerską, pamiątkową oraz sportową. Ważna jest łączna liczba sztuk broni palnej posiadanej przez jedną osobę. W tym miejscu należy bowiem przypomnieć, iż broń w liczbie powyżej 50 egzemplarzy i amunicję do niej przechowuje się w pomieszczeniu wyposażonym dodatkowo w zabezpieczenia określone w cytowanym rozporządzeniu, czyli w tak zwanym magazynie broni.

Magazyn broni musi być zlokalizowany w oddzielnym pomieszczeniu w budynku o konstrukcji niepalnej, ściany magazynu powinny być murowane. Zaleca się, aby w miarę możliwości magazyn broni urządzać na piętrze. Przepisy przewidują obowiązek posiadania w takim pomieszczeniu gaśnicy proszkowej ABC o masie środka gaśniczego co najmniej 4 kg oraz koca gaśniczego. Nadto obowiązkowo należy magazyn broni albo zabezpieczyć systemem sygnalizacji włamania i napadu z transmisją sygnału alarmu do uzbrojonego stanowiska interwencyjnego pełniącego całodobowy dyżur, albo objąć całodobową uzbrojoną ochroną. Jednym słowem niezbędne jest zawarcie stosownej umowy na świadczenie jednej z tych usług z koncesjonowanym przedsiębiorcą z branży ochroniarskiej. Ale to nie wszystko – rozporządzenie dodatkowo stawia wysokie wymagania, jakie muszą spełniać drzwi i okna wiodące do magazynu broni. Szczegółowy opis tych wymagań jest dość obszerny, więc wszystkich zainteresowanych zachęcam do zapoznania się z punktami 2 i 3 ustępu 1 paragrafu 4 cytowanego powyżej rozporządzenia.

Badania lekarskie

Ostatnio otrzymuję od myśliwych pytania dotyczące badań lekarskich dla osób już posiadających pozwolenie na broń palną w celu łowieckim, a konkretnie pytania dotyczące terminu wykonania tych badań. Otóż art. 4 ustawy z 22 marca 2018 roku o zmianie ustaw – Prawo łowieckie oraz niektórych innych ustaw (DzU z 2018 r., poz. 651) wprowadzona została zmiana treści art. 10 ust. 4 ustawy o broni i amunicji nakładająca na myśliwych (tak samo jak na osoby posiadające broń palną bojową lub gazową w celu ochrony osobistej) obowiązek przedstawiania właściwemu or-

ganowi Policji (czyli komendantowi wojewódzkiemu Policji) raz na pięć lat aktualnego orzeczenia lekarskiego i psychologicznego potwierdzających, że mogą dysponować bronią, wydanych przez lekarza upoważnionego i psychologa upoważnionego. Przepisy te weszły w życie 1 kwietnia 2018 roku. Oznacza to, że osoby, które uzyskały po tym dniu wyżej wymienione orzeczenia będące jedną z podstaw do uzyskania pozwolenia na posiadanie broni myśliwskiej, liczą pięcioletni okres do przedłożenia „nowych” orzeczeń od dnia badania, zatem okres ten wypadnie najwcześniej w kwietniu 2023 roku. Natomiast generalnie dla pozostałych myśliwych obowiązek przedłożenia organowi Policji aktualnych orzeczeń potwierdzających zdolność do dysponowania bronią powstanie 1 kwietnia 2023 roku. Ze swojej strony mogę zapewnić, iż pracownicy Wydziału Postępowań Administracyjnych KWP we Wrocławiu na przełomie lat 2022 i 2023 przypomną o tym obowiązku, wysyłając stosowne informacje do zarządów okręgowych PZŁ i kół łowieckich z Dolnego Śląska, a także postaramy się taką informację wysłać do każdego posiadacza broni służącej do polowania. W tym miejscu zachęcam do podawania swoich adresów poczty elektronicznej, co ułatwi i przyspieszy wymianę korespondencji pomiędzy WPA a myśliwymi oraz obniży koszty korespondencji.

Użyczanie broni

Zgodnie z art. 28 ustawy o broni i amunicji dozwolone jest użyczanie broni osobom posiadającym pozwolenie na broń wydane w celach łowieckich lub sportowych. Analiza tego przepisu prowadzi do wniosku, że nie tylko myśliwy może użyczyć broni innemu myśliwemu, a strzelec sportowy innemu strzelcowi sportowemu – otóż dopuszczalne jest użyczenie przez myśliwego broni strzelcowi sportowemu (oczywiście na odwrót także) o ile użyczana broń będzie odpowiadała odpowiednio celom sportowym lub łowieckim. To samo dotyczy użyczanej amunicji. Oznacza to, że na przykład sportowiec może swojego boka kaliber 12, z którego strzela do rzutków, użyczyć myśliwemu, natomiast nie może myśliwemu użyczyć broni bocznego zapłonu, gdyż ten rodzaj broni nie jest dopuszczony do wykonywania polowań w naszym kraju. Natomiast myśliwy, użyczający swojego sztucera strzelcowi sportowemu musi mieć na uwadze kaliber użyczanej broni, a to z uwagi na to, że zgodnie z Ustawą o broni i amunicji, w strzelectwie sportowym dopuszczalne jest korzystanie z broni gwintowanej centralnego zapłonu o kalibrze do 12 mm, a polować można z broni o większym kalibrze (pół cala).

W KNIEI I NA SALONACH



Scenariusz: Monika Szima-Efinowicz Reżyseria: Monika Szima-Efinowicz, Dawid Szczawiński Zdjęcia i montaż: Dawid Szczawiński
W rolach głównych: Monika Szima-Efinowicz, Liliana Nowak, Monika Starowicz, Mirosława Kuna, Aleksandra Wiewiórska, Marta Grzywna,
Edyta Teclaf-Zawadzka, Agnieszka Adamska-Stepura, Martyna Stepura, Paweł Marciniak, Dariusz Dudkiewicz, Michał Soltys, Antoni Soltys,
Adam Pawlicki, Michał Dardziński, Tomasz Suszyński, Tadeusz Knop, Zespół Francuskiej Muzyki Myśliwskiej Trompes de Pologne
Film zrealizowany w ramach amatorskiego projektu pt. "Słynne kobiety polujące w historii Polski" na II Jarociński Festiwal Kultury Łowieckiej w Tarcach 2019

Rozmowa z Moniką Szimą-Efinowicz o filmie i nie tylko

Rozmawiał: Jacek Seniów

Zdjęcia: Tadeusz Nowak

Plakat: Monika Starowicz

– To chyba pierwszy film mówiący o łowiectwie nie przez pryzmat li tylko obrazów przyrody lub jako narzędzia technicznego zarządzania środowiskiem naturalnym. Czy są jakieś inne?

– Film „W kniei i na salonach” w reżyserii mojej i Dawida Szczawińskiego powstał dzięki fascynacji historią łowiectwa, którą udało mi się obudzić w zaprzyjaźnionej grupie myśliwych z całej Polski. Nie znam filmu, który pokazywałby niezwykle historie polujących pań i ważne chwile polskiego łowiectwa z dawnych dziejów, więc tym bardziej nasz stawał się wyzwaniem, ale i dawał duże możliwości. W dawnych dziejach i w biografiach naszych przodków drzemie ukryte piękno, które przywrócić mogą jedynie obrazy, kiedy zawodzą inne sposoby budzenia świadomości. Żeby pokochać historię, trzeba ją znać, widzieć jej czar, rozumieć ją. Dziś coraz trudniej przekazywać ją tylko za pomocą słowa pisanego, które trafia do nielicznych odbiorców. Dziś promocja potrzebuje budzić pozytywne emocje. Przekaz obrazu trafia zwłaszcza do młodego pokolenia z tym, co niesie ze sobą. A co niesie? Wysublimowane piękno, powrót do korzeni, patriotyzm, zachwyt nad światem, który przeminął i z tymi wartościami identyfikuje się wielu inteligentnych odbiorców.

Myśliwi często mówią o historii łowiectwa, ale przeciętny człowiek nadal nic o tym nie wie. Myślę, że nawet sami myśliwi niewiele o niej wiedzą. W edukacji łowieckiej nadal brakuje historii, słynnych władców i bohaterów narodowych z przeszłości. Często filmy i reportaże są tylko wąskim ujęciem, jednostronnym spojrzeniem na zagadnienie łowieckie. Myśliwi to ludzie, którzy zabijają zwierzęta, prowadzą swoją gospodarkę w przyrodzie i jedzą dziczyznę etc. Ale jest przecież jeszcze niezwykle wiele zasług, o których nikt dziś nie mówi, które łowiectwo i myśliwi wnieśli w różne dziedziny życia na przestrzeni wieków. I taki wieloaspektowy obraz łowiectwa jest ogromną jego wartością, ale zupełnie nieznaną w społeczeństwie. Czy można się wobec tego dziwić tym, którzy nie rozumieją, że łowiectwo jest dziedzictwem narodowym?

Nasz film jest skierowany do zwykłych ludzi. Pokazuje losy Polski i wpisane w nie historie niezwykłych kobiet. Czy wszystkie były pozytywnymi osobowo-

ściami? A czy wszystkie okresy historyczne były idealne i niosły tylko dobre wartości?

Jako reżyser chciałam zachęcić widza do przemyslenia nad zapomnianym obrazem kobiet, które nie są wybrane przypadkowo. Każda postać przynosi argumenty, dla których Polki polowały. Gwarantuję, że widz, który nie zna historii, nie będzie umiał znaleźć odpowiedzi na pytanie o sens łowiectwa w życiu polujących pań.

W ubiegłym roku 2018 zostałam zaproszona do pałacu w Tarcach na I Jarociński Festiwal Kultury Łowieckiej. Byłam pierwszy raz na imprezie łowieckiej, gdzie tak dużą wagę organizatorzy przykładali do historii, w różny sposób związanej z właścicielem pałacu, hrabią Zbigniewem Gorzeńskim von Ostrorogiem, zapalonym myśliwym z czasów zaboru pruskiego, organizatorem działań pracy organicznej i pracy u podstaw oraz jednym z głównych bohaterów powstania wielkopolskiego. W parku, przy pałacu Gorzeńskich, festiwal nabierał innego, niepowtarzalnego i patriotycznego znaczenia. Z własnej inicjatywy wcieliłam się w postać hrabiny Anieli Gorzeńskiej von Ostroróg z domu Biegańskiej, żony Zbigniewa, i przygotowałam monodramę, dzięki której udało mi się przypomnieć polującą małżonkę hrabiego. Bardzo pozytywny odbiór i wielka zachęta ze strony organizatorów spowodowały, że narodził się tegoroczny projekt rekonstruowania postaci znanych polujących polskich Dian oraz kilku męskich, które bardzo chciały nam pomóc w realizacji. Przez ponad pół roku przygotowywaliśmy się do niego i w trakcie narodziła się idea filmu. Kiedy podejmowaliśmy decyzję o jego nakręceniu, zaczynała się dyskusja społeczna o łowiectwie jako dziedzictwie narodowym, wciąż trwała polemika na temat zabierania dzieci na polowania. Znajomi niemyśliwi, a także moi uczniowie i absolwenci, zadawali mnóstwo pytań niemal każdego dnia. Już wówczas jako reżyser, scenarzysta i producent, aktorka, wiedziałam, że film będzie odpowiedzią na te liczne wątpliwości i uzupełni brak wiedzy o łowiectwie. Jako nauczyciel i członek Komisji Problemowej Edukacji miałam od wielu lat świadomość braku takich materiałów dydaktycznych jak filmy o historii łowiectwa, które można wykorzystać na zajęciach historii, wiedzy o kulturze, godzinie wychowawczej w wyższych klasach podstawówki oraz szkołach średnich. W szkołach, gdzie nie dotrą edukatorzy



łowieccy, ale zaprzyjaźnieni nauczyciele wykorzystają taki materiał z kartą pracy na lekcji. Wielu z nich od dawna potrzebowało filmu, który nie wzbudzi kontrowersji nawet w dużych miastach, często negatywnie nastawionych do łowiectwa. Jest to ekranizacja, którą można pokazać na imprezach patriotycznych, takich jak 11 Listopada czy zwykłym Dniu Kobiet w Domu Kultury. W bliskiej mi Sobótce film i spotkanie ze mną jako reżyserem odbyło się w ramach obchodów 11 Listopada, które trwały cały weekend. Udostępniłam film wielu placówkom edukacyjnym i kulturalnym, ale nie spotkałam się do tej pory z ani jednym zarzutem środowisk przeciwnych łowiectwu.

– Film to poważne i w powszechnym mniemaniu kosztowne przedsięwzięcie z wizją zwrotu kosztów lub zarobku w przyszłości. Jak to wyglądało w tym przypadku?

– Projekt i film były moim pomysłem i przez cały czas czułam się odpowiedzialna za ich wykonanie. Ale powiedzmy sobie szczerze: nie zostałby zrealizowany, gdyby nie mój zespół aktorów składający się z myśliwych z całej Polski, którzy z ogromnym zaangażowaniem potraktowali ten projekt. Wiele pracy włożył w montaż i pomógł w reżyserii kolega Dawid Szczawiński, znany wszystkim z przygotowywania odcinków „Zewu Natury”. Dawid jako profesjonalista służył nam doświadczeniem. A jego montaż stworzył niezwykle klimat historycznej opowieści. Ko-

leżanki Diany, zafascynowane od dłuższego czasu moimi zainteresowaniami rekonstrukcją historyczną, również chciały poznać ten czar historii. Były one świadome, że jeśli my, polujące kobiety, nie ocalimy od zapomnienia historii naszych przodków, nie spopularyzujemy ich działalności nie tylko łowieckiej, to pozostaną one w pożółkłych księgach, w zakamarkach bibliotek, gdy nawet ich biografowie często niechętnie przypominają w opracowaniach pasję owych dam, jaką było polowanie. Ten film, który już w swoim założeniu był produkcją niskobudżetową, został zrobiony przez myśliwych niejako w... czynie społecznym. Wszyscy grający w nim aktorzy, oprócz grupy moich znajomych z okresu XVII wieku, są myśliwymi. Grający sami pokryli koszty szycia lub wypożyczenia strojów. Niektórzy skorzystali z mojej garderoby epokowej lub wsparcia znajomych rekonstruktorów i historyków. Zależało nam na jak najwyższej jakości i zgodności z historycznymi realiami. Dla przykładu wspomnę, że strój jednej z Dian kosztował tyle, co luneta średniej klasy. Ale czy nie warto pokazać, że myśliwi mają różne pasje, a historia łowiectwa i jej rekonstrukcja jest jedną z nich?

Miejscem, w którym kręciliśmy film, stał się pałac w Tarcach i okalający go park. Bez wątpienia jedno z najpiękniejszych miejsc w Polsce, którego właściciele, chociaż sami nie polują, to promują historię łowiectwa związaną z jego dawnymi gospodarzami – Gorzeński-





mi. Od organizatorów Jarocińskiego Festiwalu Łowieckiego, których reprezentował polujący kolega Michał Sołtys, uzyskaliśmy pomoc taką jak konie, psy, epokowe pojazdy i nieograniczone możliwości korzystania z pałacu w czasie kręcenia filmu. Kolega Michał Sołtys zachęcił właścicieli psów do wzięcia udziału w filmie, sam też zagrał rolę Jana Sztolcmana. Wspomnę również, że burmistrz Jarocina, Adam Pawlicki, który jest myśliwym, zagrał rolę swojego pradziadka, kwatermistrza Pawlickiego, który u hrabiego Zbigniewa Gorzeńskiego von Ostroroga służył wiele lat i walczył z nim ramię w ramię w powstaniu wielkopolskim. Nasz pomysł przypadł do gustu również takim łowieckim sławom, jak zespół francuskiej muzyki dawnej. Koledzy z „Trompes de Pologne” pod kierunkiem kolegi Henryka Mąki przemierzali dwukrotnie, bo na film i projekt, wiele kilometrów i wsparli nas swoim muzycznym talentem i obecnością w scenach nawiązujących do polowań par force. Promocją filmu zajęła się Akademia Świadomego Myśliwego, dzięki niej film jest wyświetlany na odbywających się Targach Łowieckich w całym kraju, zaś na Międzynarodowych Targach Łowieckich w Warszawie (kwiecień 2020) będzie zaprezentowany spot nawiązujący do naszego epokowego pomysłu z naszym udziałem.

– **A inne przeszkody? Jeśli zaś były, to jak je forsowaliście?**

– Niewątpliwie uważam za fenomen, że udało się pozyskać do współpracy tych niezwykle ludzi, którzy chcą kontynuować rozpoczęty pomysł. Obecnie składamy wniosek o dofinansowanie kolejnej części naszego filmu ze środków Ministerstwa Kultury. Robiąc ten film, nie wzięliśmy żadnej dotacji, bo rozpoczęliśmy realizację dość późno. Nie uzyskaliśmy żadnych pieniędzy z PZŁ ani innych organizacji, co w przyszłości na pewno zmienimy. Zdecydowana większość ludzi i instytucji, które prosiłmy o pomoc, wykazała zrozumienie dla naszej idei i zrezygnowała z obciążania nas kosztami. Ci, którzy odmówili albo zawiedli, po prostu nie wierzyli w sukces. Myślę, że powodem jest różnica pokoleniowa. Jeśli ktoś nie uczestniczył nigdy w takiej formie promocji, nie potrafi sobie tego wyobrazić.

Dlaczego się udało? Ponieważ wśród myśliwych dojrzewała już od pewnego czasu chęć zrobienia czegoś ważnego i dobrego dla edukacji i promocji łowiectwa. Film kostiumowy nie jest tani, ale ludzie pełni pasji potrafią zdziałać cuda. Głównym kosztem, który musiałam pokryć z własnej kieszeni, było techniczne wykonanie filmu, ale kolega zrobił go w tak promocyjnej cenie, dla „koleżanki nauczycielki”, że było warto. Cóż, są tacy, którzy dla swojej pasji wydają pieniądze na optykę, nową broń, odzież. A jeśli moją pasją jest historia, łowiectwo i eduka-



cja? Wówczas robię film – dla siebie, społeczeństwa i łowiectwa. A zarobek na filmie? To czyste sumienie, że mogliśmy stworzyć ekranizację o charakterze edukacyjnym i zyskiem z niego będzie pogłębienie wiedzy w społeczeństwie; często są to większe wartości niż pieniądze. Ale to już z pewnością każdy myśliwy wie najlepiej.

Nie chcę zarabiać na moim filmie, ponieważ chcę go pokazać na Festiwalu Filmów Amatorskich, a tam warunkiem jest przygotowanie obrazu, który nie jest nastawiony na komercję – i w ten sposób promować łowiectwo. Z pewnością film nie jest doskonały i zawsze można wyszukiwać jakieś błędy, jednak mimo



wszystko wnosi wiele dobra. Natomiast myśl o naszej niezwyklej mobilizacji, która spowodowała, że pasja do łowiectwa zamieniła się w pasję odtwarzania historii, bardzo mnie cieszy.

– Jesteś doświadczonym pedagogiem, a ja ciągle wokół słyszę: edukacja, edukacja... Czy to częste używanie tego słowa nie dewaluje go?

– Od dwudziestu jeden lat jestem w Sobótce nauczycielem historii, wiedzy o kulturze, wiedzy o społeczeństwie i przedsiębiorczości. Zawód ten z pewnością jest bardzo trudny, ale od dawna było to moje marzenie, które się spełniło. To długi czas, który dość aktywnie poświęciłam na pracę z młodzieżą. Nie pozwoliło mi to wcześniej zostać myśliwym. Obecnie jestem nauczycielem dyplomowanym, a więc skończyłam ścieżkę awansu zawodowego. Na zdevaluowanie pojęcia nauczyciela ma z pewnością wpływ on sam, zwłaszcza jakość jego pracy. Dziś niestety również media i państwo obniżają tę wartość. Jednak najważniejsze jest to, jak jego pracę ocenią i kim będą jego absolwenci w przyszłości. Przyznam, że to nie nagrody, wyróżnienia w konkursach, projektach, nowatorskich metodach są dla mnie nobilitacją, a sukcesy moich absolwentów, ich osobowość i drogi życiowe. Od lat jestem zwolenniczką praktycznego wymiaru edukacji. Moi uczniowie mają nauczyć się działać, myśleć kreatywnie, wyrażać siebie. Spełniać najtrudniejsze marzenia. Chciałabym, aby umieli być szczęśliwi i potrafili sobie radzić w dorosłym życiu. Pomóc uwierzyć uczniowi w jego możliwości to dużo więcej niż udowodnić mu, że nic nie wie. Jak to zrobić? Poprzez edukację, która jest wyzwaniem, przygodą. Niestety, w zbiurokratyzowanej dziś szkole nauczyciel ma coraz mniej czasu, by przygotować pasjonujące zajęcia i projekty dla swoich uczniów i to z pewnością dewaluje wartość szkoły.

– Recepta, może niejedyna, na dobrą edukację?

– Pierwszą cechą dobrej edukacji jest umiejętność zainteresowania ucznia. Nie jest to proste, ale udaje się. Odwołam się do początku tego wywiadu. Robić filmy dokumentalne o świadkach historii, zwiastuny imprez kulturalnych, które organizowałam w naszym regionie czy reportaże, nauczyłam się jako nauczyciel Liceum w Sobótce. Nagrody i wyróżnienia nie cieszą tak, jak sukcesy absolwentów. Szybko zauważyłam, jak moi uczniowie wykorzystują te doświadczenia w swoim życiu zawodowym i są szczęśliwi. Często zarabiają więcej niż nauczyciel, który naprowadził ich na drogę sukcesu.

Rekonstrukcja historyczna zawitała w moim życiu najpierw jako metoda edukacyjna, kiedy organizowaliśmy projekty z młodzieżą rosyjską. Uczniowie z Polski i Rosji szukali wspólnych, słowiańskich korzeni, przez tydzień żyjąc w średniowiecznej osadzie, spożywa-

jąc dawne potrawy, szyjąc stroje i spędzając czas na zajęciach z epoki. Wcześniej pisali prośby do sponsorów i pozyskali ponad połowę środków finansowych wykorzystanych na ten cel. To była nauka historii i przedsiębiorczości jednocześnie. Ale i wiary w swoje możliwości. Bardzo praktyczna lekcja, którą pamiętają do dziś. Potem rewizyta w Rosji i wyjazdy do szkół partnerskich z Polski na podobne praktyczne projekty. Przyjaźń z Rosjanami pozostała do dziś. Z czasem nawet zamieniła się ona na współpracę zawodową.

Czy to nie przypomina trochę owych metod fińskiej edukacji? Ależ oczywiście. Jednak muszą być do tego odpowiednie warunki. W małej szkole, z przychylną do nowatorskich, edukacyjnych pomysłów dyrekcją można osiągnąć bardzo wiele. Trzy lata temu, wraz z garstką moich absolwentów z Powiatowego Zespołu Szkół nr 3 w Sobótce, założyłam grupę rekonstrukcyjną „Drużyna Ślęgu”, która rekonstruuje okres drugiej połowy X wieku. Młodzież dziś jest już na studiach z zakresu rekonstrukcji historycznej (nowy kierunek na Uniwersytecie Wrocławskim), turystyce, dziennikarstwie. Od trzech lat pod kierunkiem konserwatora zabytków archeologicznych na Ślęży pani Haliny Śledzik-Kamińskiej i nadleśnictwa Miękinia młodzież wolontariacko opiekuje się Rezerwatem Archeologicznym w Będkowicach na terenie Ślężańskiego Parku Krajobrazowego, wykonując prace, których nikt do tej pory nie chciał robić. Organizuje imprezy historyczne w grodzisku w Będkowicach i na terenie gminy Sobótka. Przygotowuje za darmo zajęcia żywej historii, w której ważnym punktem jest



łowiectwo w średniowieczu. A więc aby nauczanie było skuteczne, musi być ciekawe.

Edukacja historyczno-łowiecka w Będkovicach jest prowadzona przy akceptacji władzy gminnej. W naszych zajęciach może wziąć udział każda grupa, która nawiąże z nami kontakt, do czego serdecznie zapraszam.

Druga rada mówi o praktycznym wymiarze edukacji. Jeśli przynosi to uczniowi korzyść, podejmie on takie działanie.

Trzecia rada, wynikająca z moich doświadczeń, każe zaangażować emocje dzieci, a dodatkowo wszystkie zmysły. Projekty rekonstrukcyjne odrywają od codzienności i pokazują zupełnie inny świat. W tym nowym świecie dzieci odnajdują siebie i zaczynają wierzyć w swoje siły. Zwłaszcza te, którym nigdy nic nie wychodziło, pięknie tańczą epokowe tańce, a wtedy na bazie tych emocji uczą się dat, miejsc, postaci i jeszcze odnajdą w tym przyjemność.

Pamiętam emocje w 2012 roku w czasie rekonstrukcji bitwy napoleońskiej podczas Pikniku Napoleońskiego w ramach projektu „Europa w oczach Polaków i Rosjan” i radość licealistów, że wyjadą za to na tydzień do Moskwy. To były emocje!

Niestety reformy, które przeprowadzono w ostatnim czasie, nie przybliżają nas do takiej szkoły. Brak lepszych wynagrodzeń dla nauczycieli powoduje odpływ kreatywnych pedagogów do innych zawodów. Niestety, nie wszystkich stać na taką wizję edukacji.

A szkoda, bo ostatnia rada na skuteczną edukację brzmi: autorytet nauczyciela, pełnego pasji, który po-

trafi swoich uczniów zachęcić do działania i którego będzie stać sprostać wyzwaniom, również finansowym – to jest najważniejsze.

– *Nauczanie a edukacja?*

– Jak widać, znacznie bliższy jest mi termin edukacja, która musi być harmonijnym połączeniem wychowania i wykształcenia młodego człowieka. Wiele doświadczeń i spotkań z ludźmi, nowymi sytuacjami, stworzy z nich wartościowych i świadomych obywateli. Wolę pokazać dzieciom po co jest wiedza i obudzić potrzebę jej zdobywania, niż poprzez tak zwane „wkuwanie dat” zniechęcić do historii ojczystej.

– *Skąd ten, powiedzmy, bakcyl u Ciebie?*

– Moja mama była nauczycielką. W rodzinie o bogatych doświadczeniach dziejowych historia spletała się z życiem codziennym. A w trudnych czasach PRL-u często dodawała blasku szarej rzeczywistości. Mój tato był i jest zapalonym myśliwym i on przynosił nas z siostrą w niezwykle świat przyrody. Ze względu na duże zaangażowanie w zawód nauczyciela i roli rodzica, moja przygoda z łowiectwem przesunęła się w czasie. Na moment, kiedy dorosły człowiek zadaje sobie pytanie, co jeszcze powinien przeżyć, o jakich innych marzeniach zapomniał w biegu życia codziennego? Okazało się, że moje pasje łączą się ze sobą i mogą przydać się również w łowiectwie. Dziś wiem, że poświęciłam młodzieży i dzieciom bardzo dużo czasu, energii, pomysłów i pracy. W tym trudnym zawodzie, jakim jest praca nauczyciela, łowiectwo to najlepszy relaks, jaki może dać los.



Selekcja osobnicza sarny przepisy czy hodowla?

Tekst: Franciszek Banaszewski

Zdjęcie: Adobe Stock

Selekcja osobnicza sarny rogaczy ulegała w ostatnim okresie wielu modyfikacjom, poczynając od zmian w ilości klas wieku z trzech do dwóch aż ostatecznie unormowania podziału na osobniki selekcyjne i łowne. Dodatkowo zrezygnowano z masy parostków na rzecz ich formy w zależności od przedziału wiekowego. W skrócie można by powyższe zmiany podsumować jako otwarcie się na myśliwego, który ma zdecydować o wieku strzelanego osobnika selekcyjnego (od drugiego do piątego roku życia) oraz uwolnienie co do formy poroża odstrzału kozłów od szóstego roku życia.

Prawidłowe podejście do obecnych zasad selekcji osobniczej kozłów pozwala na „zestarzenie się” rogaczy. Nie ma presji na wykonanie odstrzału wśród osobników młodych (2–3 rok życia), gdzie do końca nie zawsze jesteśmy w stanie określić ich „zdolność rozrodczą”. Chodzi tu w szczególności o wiek, przyjmując za główne kryterium tylko poroże. Nie każdy rogacz w drugim roku życia jest szpicakiem, a tym samym słaby szóstak czy szóstak nieregularny jest już rogaczem trzyletnim.

Dziedziczenie cech poroża u sarny, jako element bardzo istotny i ważny z punktu widzenia hodowlanego w zakresie gospodarowania populacją osobników na danym terenie (łowisku), jest prawie zupełnie niezbadany. Dotyczy to zakresu jego bezpośredniego wpływu na jakość parostków u danego osobnika. Poroże sarny wykazuje ogromną podatność na różnego rodzaju czynniki zewnętrzne obejmujące warunki klimatyczne i środowiskowe oraz wewnętrzne ujawniające się w ogólnej kondycji zwierzęcia bezpośrednio związanej z tym pierwszym. Utrudnia to przeprowadzenie jednoznacznych analiz i badań dających miarodajne wyniki

prowadzonych zabiegów hodowlanych poprzez selekcję poszczególnych osobników.

Bezspornie należy przyjąć, że dziedzicznie utrwalony jest ogólny schemat kształtu poroża, natomiast takie elementy jak masa, długość tyk i odnóg, uperlenie, ustawienie tyk, kształt i wielkość róży oraz zakończenie odnóg niekoniecznie są dziedzicznymi cechami genetycznymi a być może jedynie cechami uzależnionymi od warunków zewnętrznych oraz okresowej kondycji osobnika. Prowadzone przez mnie kilkuletnie obserwacje poszczególnych rogaczy w jednym łowisku bezspornie dowodzą tej tezy. Wszystkie one dotyczyły przede wszystkim zmieniającego się uperlenia parostków. Utrzymujące się przez dwa kolejne sezony mocne uperlenie prawdopodobnie wskutek przyczyn związanych z warunkami atmosferycznymi lub zimowym stresem w jednym roku zanikało praktycznie do szczątkowych pereł, by ponownie w następnym roku znowu obejmować przynajmniej trzy czwarte trzonu tyki. Jak przytaczają niektórzy badacze (HESPELER, STUBBE, PIELOWSKI), uperlenie tyk stanowi swojego rodzaju luksus, ponieważ powstaje na sam koniec wykształcania poroża. Tak więc perły jako produkt luksusowy wytwarzane są w sytuacji, gdy kozioł dysponuje „nadmiarem czasu” oraz „materiału twórczego”. Daje to dodatkową wskazówkę do gospodarowania populacją sarny. Mianowicie spokój w łowisku, a przede wszystkim optymalna w okresie zimowym baza żerowa staje się motorem napędowym budowy luksusowych parostków.

W kwestiach dziedziczenia należy jeszcze rozważyć ewentualne przekazywanie cech budowy poroża przez konkretne chromosomy, w tym przypadku chodzi prawdopodobnie o chromosomy płciowe. W wyni-

ku powyższego przekazywanie tej cechy dziedzicznej odbywałoby się u sarny „na krzyż”. Takie rozumowanie pociąga za sobą kolejne zagmatwanie zagadnienia dziedziczności. Mianowicie chodzi o to, że nosicielem pożądaných genów w następnym pokoleniu nie jest rogacz, lecz koza, która dopiero w kolejnym pokoleniu przekazywałaby je swojemu synowi. Wynika z tego, że to nie syn a dopiero wnuk mocnego rogacza pojawi się w danym obrębie łowiska, o ile koza zdąży przekazać geny. Dlatego tak ważne jest umiejętne przeprowadzenie odstrzału kóz w prawdopodobnych ostojach medalowych rogaczy. Dodatkowo należy jeszcze uwzględnić aspekty związane z arealem osobniczym danego osobnika, a w stosunku do rogaczy również występowaniem zjawiska związanego z terytorializmem bardzo silnie oddziałującym szczególnie na młodsze rogacze, powodując ich migracje. Gdy młody mocny rogacz nie znajdzie swojej ostoi (koczowiska) w pobliżu miejsca swojego urodzenia, bo będzie przepędzany przez starsze niekiedy mocniejsze kozły, to wówczas wyemigruje poza dany teren. Jak wskazują badania, maksymalne migracje znakowanych młodych kóz dochodziły nawet do kilkudziesięciu kilometrów. Tendencje do wędrówek wykazywały właśnie mocne w tuszy dwuletnie rogacze dążące do zdobycia własnego terytorium (PIEŁOWSKI 1988). Czy zatem nie warto w tej sytuacji wyzbyc się tu niczym nieuzasadnionego błędnego poglądu, iż mocne stare rogacze strzelamy po rui, ponieważ pozostawiają po sobie również mocne potomstwo? Prowadzone obserwacje wskazują jednoznacznie, że kozy same dobierają sobie partnerów i przyszłe cechy parostków i tak będą dyktowane przez samicę. W czasie rui niejednokrotnie obserwowałem w miejscu potencjalnego występowania mocnego medalowego rogacza krycie kozy poprzez młode osobniki, które wykorzystywały chwilową absencję rogacza terytorialnego. Dlatego więc, czy nie warto zrobić po prostu miejsce dla młodzieży, ograniczając w ten sposób ich migrację, a tym samym zwiększoną śmiertelność spowodowaną wypadkami komunikacyjnymi? Tak więc strzelanie mocnego rogacza na początku sezonu uwalnia niszę dla młodych kóz poszukujących terytorium bez uszczerbku dla puli genowej na danym obszarze.

W obrębie ostoi populacji saren można nieraz wydzielić grupy osobników o podobnych cechach poroża w typie i formie, co może sugerować w pewnym mniemaniu zjawisko dziedziczenia określonych cech. Ciągłe natomiast występowanie w pewnej części łowiska rogaczy o parostkach w formie bagiennej czy korkociągów niekiedy może świadczyć o przekazywaniu tej cechy dziedzicznie z pokolenia na pokolenie, gdyż konkretnie przyczyna powstawania tego typu poroża związana jest ze ściśle określonymi

warunkami środowiskowymi. Są łowiska, gdzie bez trudu możemy spotkać różne formy myłkusów i nie stanowią one rzadkości w odróżnieniu od łowisk, gdzie jakkolwiek forma myłkusa jest sporadyczna, ale się zdarza i niekiedy powtarza się w kolejnym pokoleniu. Jeżeli więc porównamy siedliska, w których żyją poszczególne sarnie populacje, stwierdzimy bez trudu, że w głównej mierze to właśnie one decydują o formie parostków. Pozostaje jedynie kwestia rozważań czysto teoretycznych, jak na poszczególne osobniki wpłynęłaby zamiana środowiskowa, a mianowicie przesiedlenie znakowanych osobników na dany teren. Czy zmiana nastąpi już w pierwszym sezonie nakładania poroża, czy jednak czas oddziaływania czynników zewnętrznych związany jest z okresem kilku- czy kilkunastoletnim? Zatem ciężko jest rozgraniczyć, co jest przekazywane genetycznie, co zaś zależy od wielkiej liczby czynników zewnętrznych. Genetyk prof. Hans Stubbe twierdzi, że „każda środowiskowo uwarunkowana niedziedziczna modyfikacja może występować również jako dziedziczna mutacja”, tym samym komplikując zagadnienie dziedziczenia cech poroża u sarny. Dlatego właśnie próba poprawy jakości osobniczej na drodze eliminacji poprzez odstrzał osobników o słabym bądź odbiegającym od normy i ustalonego wzorca poroża, choć trudna do wykonania, bo będzie obejmowała jedynie rogacze ze znikomym oddziaływaniem na kozy, w konsekwencji nie przynosi spodziewanych efektów. Zatem jeżeli sam odstrzał nie daje spodziewanych efektów, należy zwrócić uwagę na inny, już wcześniej sygnalizowany aspekt, a mianowicie wpływ warunków środowiskowych na jakość osobniczą sarny, a tym samym jakość poroża.

Doświadczenie przeprowadzone w jednym z austriackich łowisk, gdzie przyjęto założenie konsekwentnej poprawy jakości populacji bytującej tam sarny, potwierdza tę kwestię. Przeprowadzony tam sam odstrzał słabych osobników pod względem poroża nie przyniósł oczekiwanych rezultatów w postaci polepszenia jego jakości, a przede wszystkim masy tuszy strzelanych osobników. W rezultacie okazało się, że poprawy nie wymagają sarny, lecz łowisko, w którym one żyją. Oprócz znaczącego całorocznego polepszenia naturalnej bazy żerowej w miejscach, gdzie było to niemożliwe, nastawiono się na podawanie karmy treściwej, szczególnie w okresach totalnego braku żeru. Efekty przysły już w trzecim pokoleniu (około 12 lat) – masa tuszy kóz wzrosła o 4 kg, a średnia masa poroża dojrzałych kóz z 280 g do 610 g. Wyszło na tej podstawie wniosek, „że dziedziczność degeneracyjna sarny nie istnieje – jej jakość osobnicza jest niska wyłącznie na skutek niedostatecznie dobranych warunków środowiskowych”. Poprawa warunków by-

towych może również dotyczyć regulacji zagęszczenia populacji, a więc silnej redukcji w celu zwiększenia równowagi pomiędzy zasobnością naturalną bazy żerowej a liczbą saren ją eksploatujących. Jednakże za ograniczeniem liczebności w populacji kryje się inne niebezpieczeństwo, a mianowicie zawężenie materiału genetycznego i powstawanie zupełnie przypadkowych kombinacji genetycznych, które z reguły nie są najcenniejsze, czego efektem jest słaba jakość sarny (masa tuszy i poroża) nawet w doskonałych warunkach ekologicznych. Całość przedsięwzięć została opisana w książce pt. „O sarnach w styryjskim łowisku górskim” (A. i J. v. BAYERN 1981) i może stanowić ciekawą odpowiedź do gospodarowania populacją sarny w słabych łowiskach. Zawiłość dziedziczenia cech sarnich parostków nie tylko komplikuje samą „hodowlę” gatunku. Co więcej, skupiając się tylko na samych samcach, bez poddania podobnej selekcji również samic, całość naszych zabiegów na nic się nie zda i w końcowym rozrachunku wracamy do punktu wyjścia.

Czy zatem istnieje celowość selekcji u sarny w stosunku do pojedynczego osobnika? Biologiczne podejście do zagadnień związanych z hodowlą zwierzyny płowej, w tym również w stosunku do sarny, ma swój początek w zeszłym stuleciu, w którym wprowadzono pojęcie „hodowli za pomocą strzelby”. Należy jednak zadać pytanie: – Czy selekcja osobnicza sarny przynosi spodziewane rezultaty, a zatem czy jest celowa?

Odpowiedź jest złożona i wymaga zupełnie innego podejścia do zagadnień selekcji, przede wszystkim odejścia od zasady, iż poprzez poprawienie jakości poszczególnych osobników uzyska się poprawę całej populacji. Do selekcji należy podejść całościowo, traktując jako jednostki nie osobniki, lecz całą populację, ze zwróceniem uwagi na stosunki panujące wewnątrz populacji oraz przede wszystkim współzależności z otaczającym ją światem zewnętrznym. Poprawa populacji automatycznie wpłynie na jakość poszczególnych osobników. W pierwszej części tekstu rozpatrywałem kwestię, jaki wpływ wywierają na sarnę czynniki dziedziczenia oraz czy wyżej nie należy stawiać czynników zewnętrznych nad genetycznymi.

Rozpatrując kwestię celowości selekcji osobniczej u sarny, należy zwrócić uwagę na ich przejrzystość i jasność. Obowiązujące od niedawna zasady odstrzałów samców sarny, wprowadzone Uchwałą nr 14/2015 Naczelnej Rady Łowieckiej z 15 grudnia 2015 r. w sprawie przyjęcia zasad selekcji populacyjnej i osobniczej zwierząt łownych w Polsce oraz zasad postępowania przy ocenie zgodności odstrzału, w jednoznaczny i prosty sposób określają kryteria, jakimi powinien posługiwać się myśliwy przy dokonywaniu odstrzału rogaczy. Przede wszystkim ustalono rodzaj odstrzału na

selekcyjny i łowny z taką interpretacją, że dzierżawca obwodu łowieckiego będzie decydował o procentowym udziale w poszczególnych rodzajach, nie mniej jednak niż ustalono w kryteriach. Definitywnie zrezygnowano z kryterium masy poroża (dla formy regularnego szóstaka) w poszczególnych klasach wieku wyłącznie na rzecz formy nakładanych parostków.

Przepisy oszczędzają przede wszystkim młode rogacze w pierwszym porożu, jednoznacznie wskazując na kryterium formy poroża w postaci jedynie guzików i szpiców. Dla starszych osobników do piątego roku życia jest forma do nieregularnego szóstaka włącznie. Zatem czy takie rozwiązania będą sprzyjały poprawie jakości osobniczej, czy raczej mają na celu ułatwienie prowadzenia odstrzału wśród samców, stwarzając warunki do regulacji całości populacji? Myśliwi i tak z reguły niechętnie strzelali rogacze w pierwszym porożu. W przeszłość odeszły kluby myśliwych, którzy polowali wyłącznie na guzikarze i słabe szpicaki, tworząc często ciekawe kolekcje tych trofeów. Większości myśliwych nie pociąga polowanie na guzikarza, bo jakie to trofeum! Na jednej z wystaw łowieckich wielką furorę zrobiła właśnie kolekcja złożona z samych guzikarzy.

Analizując arkusze oceny prawidłowości odstrzału, można jednoznacznie stwierdzić, że największy odsetek odstrzałów nieprawidłowych był właśnie w I klasie wieku, a w szczególności wśród rogaczy w pierwszym porożu. Określenie wieku pozyskanego rogacza powyżej 12 miesięcy nie stanowi problemu, gdyż w tym okresie następuje wymiana uzębienia mlecznego na stałe. Problem zaczyna się przy ocenie wieku rogaczy trzyletnich i starszych, dlatego też jedyne kryterium, jakim jest wspomniana forma poroża, nie powoduje zbyt dużego obciążenia dla populacji. Nie ma wówczas znaczenia, czy rogacz miał trzy lata czy pięć, jeżeli jest pozyskany zgodnie z obowiązującym kryterium. Dla myśliwego ma znaczenie jedynie wiek, bo „im starszy rogacz, tym wzrasta prestiż zdobywcy”.

Kumulację rozwoju poroża rogacze osiągają pomiędzy piątym a siódmym rokiem życia, dlatego też przyjęto granicę wieku dla rogacza łownego jako sześć lat i wówczas można strzelić każdego rogacza bez względu na formę poroża. Takie rozwiązanie sprzyja po prostu możliwości pozyskiwania medalowych rogaczy bez uszczerbku dla całej populacji pod jednym tylko warunkiem, że ma być w odpowiednim wieku. Obserwując rogacze w łowisku, bez problemu możemy wyróżnić terytorialne, które zajmują ten sam obszar z roku na rok. Pozwala to na bezbłędne określenie wieku. Z własnego doświadczenia wiem, że w sprzyjających warunkach środowiskowych można „prowadzić” rogacza od drugiego poroża aż do odpowiedniego wieku stanowiącego podstawę

do odstrzału. Przynosi to więcej satysfakcji niż przypadkowy odstrzał rogacza, którego widzimy w łowisku po raz pierwszy.

Selekcja osobnicza musi zostać ściśle powiązana z selekcją populacyjną oraz poprawą naturalnego środowiska, w jakim bytuje sarna. Chodzi tu przede wszystkim o obfitą i zawierającą konieczne składniki całoroczną bazę pokarmową oraz spokojne ostoje. Dają one gwarancję prawidłowego przebiegu aktywności dobowej sarny. Należy wspomnieć o bezpańskich psach i kotach, których coraz więcej widuje się w terenie, szczególnie po okresie urlopowym, w znacznym stopniu zakłócających rytm dobowy sarny, zmuszając ją częstokroć do dalekich ucieczek, co jest dla jej organizmu niebezpieczne w okresie zimowym. Coraz większa liczba monokulturowych upraw, szczególnie kukurydzy (przeorywanej na okres zimowy) czy grodenie upraw leśnych w znacznym stopniu uszczupla bazę żerową oraz jej dostępność dla sarny. Na grodenie upraw nie mamy wpływu, natomiast należałoby się zastanowić nad zagospodarowaniem choćby części ugorów porolnych. Przykładem mogą służyć niektóre kraje zachodniej Europy, gdzie w monokulturowym krajobrazie rolniczym powstają pasy wzdłuż remiz i cieków wodnych obsiewane różnego rodzaju zielonkami lub zbożem, z takim wyliczeniem, aby ich wegetacja dostarczała pokarmu przez cały rok. Na takich rozwiązaniach nie tylko korzystają sarny, ale również z większym powodzeniem zwierzyna drobna. Śródleśne łąki i prześwietlone linie oddziałowe wykaszane są późnym latem, zapewniając w ten sposób odrastanie młodej trawy i ziół w okresie, gdy na innych powierzchniach ich dostęp jest ograniczony. Bardzo duży nacisk położony jest na uprawę i systematyczne powiększanie na terenach leśnych poletek zgryzowych oraz zakładanie śródpolnych remiz obsadzanych atrakcyjnymi do żerowania dla sarny drzewkami i krzewami. Systematyczne zgryzanie powoduje produkcję masy zgryzienowej poprzez zwiększanie pędów na wysokości gęby, przez co takie miejsca zapewniają sarnom stałość bazy żerowej.

Należy zaznaczyć, że w wielu naszych „sarnich łowiskach” po spełnieniu tych wszystkich warunków można spodziewać się znacznego wzrostu jakości populacji sarny – zarówno jakościowego, jak i ilościowego. Tylko nasza dobra wola, zrozumienie zasad gospodarowania populacją, poczucie etyki i zastosowanie się do zaleceń, uchroni przed „kulą” niejednego w przyszłości medalowego rogacza.



Z pasją o słowach z miłością o łowach

Słownikowe rozważania Jana Jerzego Józwiaka

– O łowach rozmawiało się w moim domu od zawsze. Ojciec, bracia, ja i następne pokolenia. Także wśród mężczyzn kobieta. Może dlatego, że na wsi było bliżej z domu na pole, nad rzekę i na nadbuzzańskie bagna i wiosenne rozlewiska.

Przyszedłem na świat jako piąty, męski potomek w rodzinie. Były to czasy niezwykle. Tak napisałem w późniejszym wierszu wydanym w tomiku „Być myśliwym”:

*... – Że urodziłem się w tułacznej męce,
Z dala od domu, co go ukradli...
Gdy wokół ogień, nędza, bezprawie,
Cóż mam powiedzieć, żalić się komu?
Tyle przeżyłem w zburzonej Warszawie,
Nim powróciłem do swego domu.*

Okres nauki w tych złych czasach, gdy trzeba było się kryć z pochodzeniem. Praca na roli, gdy trzeba było uzasadniać kupno pługa do orki tym, że jest potrzebny do orki. Ale też radość z pierwszej po wojnie strzelby w domu, na początek strzelby brata. Później poszło łatwiej. Zainteresowania literaturą i językiem łowieckim, gdy czasopismo myśliwskie opowiadało o łowiectwie, a nie o handlu. Gejzerem wiedzy dotąd tajemnej stał się tytuł pracy dyplomowej brata, naszym przewodnikiem w arkanach językowych: „Powieści myśliwskie Weyssenhoffa”. Po latach, gdy już okrzepła nasza wiedza, gdy stworzyliśmy Klub Miłośników Języka i Literatury Łowieckiej, przyszła pora na własną twórczość. To poezja, nie tylko myśliwska, ale odkrywająca wydarzenia paralelne w dziedzinie łowiectwa, muzyki, rzeźby i malarstwa. Wokół tego powstawał specyficzny język, stąd te „Rozważania słownikowe”.

Wspomniany klub powstał w 1990 roku w wyniku narady działaczy łowieckich we Włocławku i wygło-

szonego tam referatu właśnie tego mojego brata, który pierwszy po wojnie przyniósł do domu strzelbę. Na spotkaniu założycielskim kilka miesięcy później, w Warszawie, mówił znów o kulturze języka, a właściwie o potrzebie wydania nowego słownika języka łowieckiego. Jednak ówczesni decydenci nie widzieli pilnej potrzeby podjęcia takiej pracy. Wydano wprawdzie nowy słownik, ale był to słownik tematyczny języka łowieckiego Zygmunta Józwiaka, z natury o ograniczonym zasobie haseł.

Na prawdziwy, niestety również ograniczony wielkością, „Mały słownik języka łowieckiego” autorstwa Jana Jerzego Józwiaka przyszło czekać dwie dekady. Zresztą nawet ten ukazał się nie jako samodzielne wydanie, lecz w pracy zbiorowej.

– Co skłoniło mnie do odmiennego niż dotąd potraktowania zasobów leksykalnych naszej myśliwskiej mowy? Dlaczego, przy tak rozpowszechnionym i bogatym rynku edytorskim, uważam za stosowne wytłumaczyć w przystępny i komunikatywny sposób treść tych wydawnictw? Kto bowiem otworzy łowiecki słownik na dowolnej stronie, może sam, bez pomocy z zewnątrz i zbędnego sterowania, przeczytać hasło i jego znaczenie, np.: ambona – nadziemne stanowisko myśliwskie; często z uzupełnieniem miejsca, wysokości lub zadaszenia. Takie wyjaśnienie wpisuje się jednak dokładnie w zakres poczynąń organizacji antyłowieckich, implikujących jedyne, ograniczone do strzelania działania myśliwych. Ani słowa bowiem w tym artykule hasłowym o łowiectwie, które jest pojęciem szerszym, o rodzajach ambon, o ich wykorzystaniu niekoniecznie w celu odstrzału zwierzęny.

Spróbujmy więc tak spojrzeć na naszą mowę, na język łowiecki, na słownik tego języka. Będzie on różny, a właściwie jest już różny od popularnych,

tworzonych na rozmaite zapotrzebowania słowników. Może po serii tych publikacji nareszcie zostanie podjęta decyzja o druku pełnego, bez skrótów, a co najważniejsze unikającego błędów wydawnictwa łowieckiego.

Mowa współczesnego Polaka ma dwa charakterystyczne wyróżniki: zubożenie i wulgaryzacja. Byłoby dziwne, gdyby język braci łowieckiej odbiegał znacząco od tej normy. Raczej, przeglądając większość łowieckich forów internetowych i wydawnictw piśmienniczych, można zauważyć tendencje zniżujące. Występują one nie tylko w języku ogólnopolskim, w mowie potocznej, ale także w tak przecież teoretycznie pielęgnowanym języku łowieckim.

Ponieważ nie każdy ma dostęp do słownika łowieckiego, a nawet posiadający słownik na półeczce nie mogą się rozeznąć, co jest prawdą, a co nie, przybliżymy niektóre pojęcia. Skupimy się na hasłach i wyjaśnieniach szczególnie sprawiających trudności. Jeśli ktoś uważa, że to wszystko jedno, jak się mówi na strzelbę lub zwierza, to niech tu nie zagląda; szkoda czasu i atlasu!

Zaczniemy, jak porządek nakazuje, od litery 'a'.

Ambona to szczególna budowla. Ma zwykle cztery podpory, niektórzy mówią nogi, a na pomoście (jeśli 'pomost' określamy mianem 'platformy', to musimy zdawać sobie sprawę z tego, że platforma, czasem mówią placforma, to germanizm), 3–4 metry nad ziemią, zadaszone pomieszczenie na złą pogodę, chroniące nas od opadów i innych zjawisk atmosferycznych. Bo jak pogoda dobra, wystarczy wyszka, czyli takie siedzonko z drabinką bez ścian i dachu. Niektórzy mówią na to zwyżka, bardziej pomysłowi i wynalazcy wzwyżka, a pesymiści wysiadka. Jest jeszcze kilka regionalnych nazw, ale każda budowla spełni swoje zadanie, jeśli została dobrze umiejscowiona. Myśliwi znający swoje obwody wiedzą, gdzie należy je projektować. Już na pewno nie na drzewie, jak to radzi pewien internetowy językoznawca. I nie tylko on, za nim poszli inni!

W tej grupie znajdziemy niewiele haseł, ale trzy z nich są obcego pochodzenia, jednak już wystarczająco spolszczone, by zadomowiły się w naszej mowie: anons, aport i awantaż.

Anons i pokrewne mu anonser, anonsować i anonsowanie dotyczą szczególnego sposobu pracy psa myśliwskiego, polegającego na ogłaszaniu i doprowadzaniu myśliwego do znalezionej, ubitej zwierzyny.

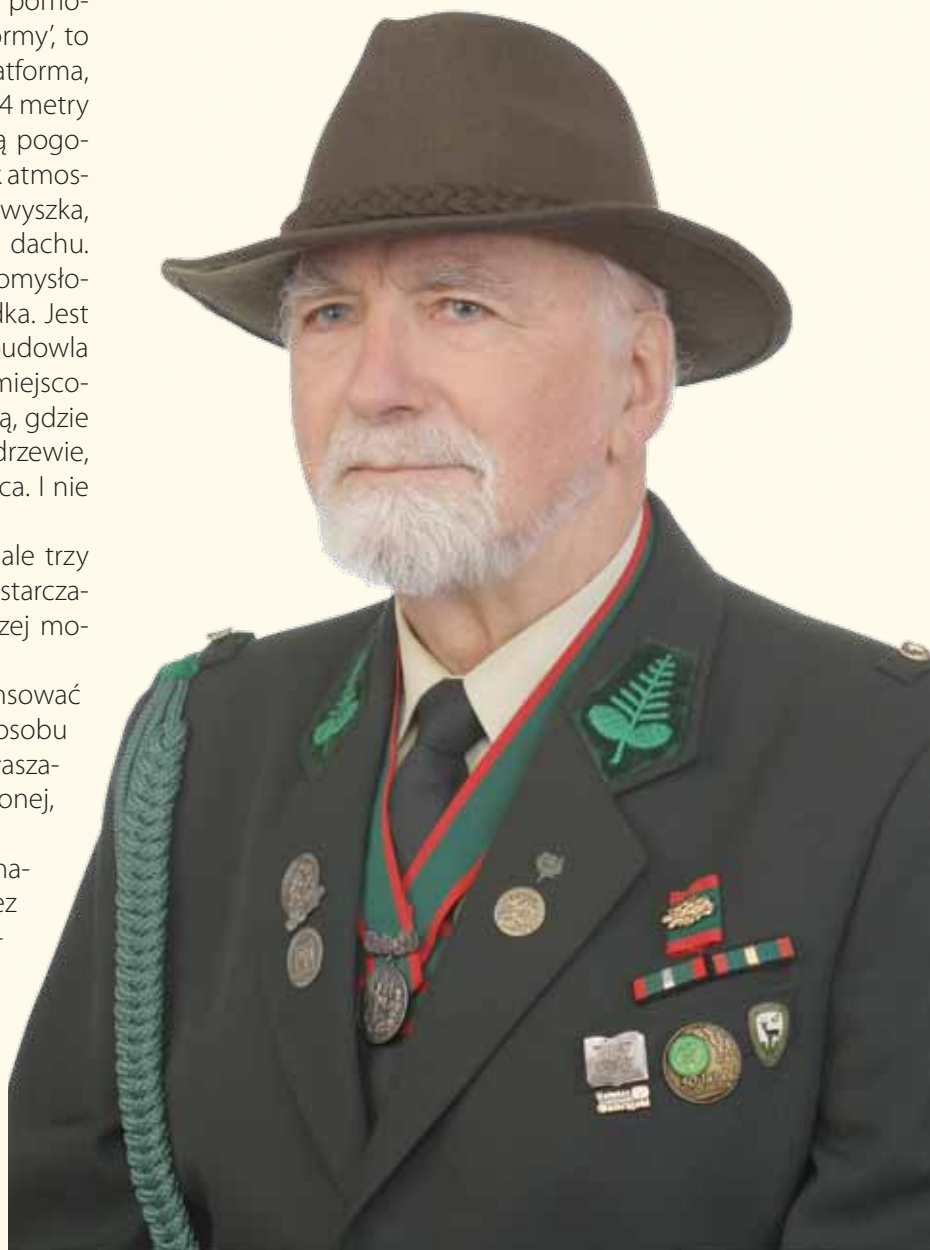
Aport to czynność i polecenie jej wykonania, a także rzecz, zdobycz, przyniesiona przez psa myśliwskiego myśliwemu. Wraz z wyrazami 'aportować' i 'aportowanie' odnoszą się do szkolenia psów. Obcojęzyczny aport

zastępowany jest coraz częściej rodzimymi odpowiednikami 'daj', 'podaj' lub 'przynieś'. Ale bez obaw można używać wszystkich.

Trzecie hasło, **awantaż**, również pochodzenia francuskiego (*avantage*), dotyczy budowy kolby broni, a właściwie jej bocznego odchylenia. Błędna jest pisownia awantażu przez 'rz', nie ma tu identyczności z polskimi wyrazami kończącymi się na -arz, takimi jak brakarz, włókniarz czy pilarz. Można natomiast awantaż kojarzyć z wyrazami pejzaż czy ekwipaż, których końcówce 'ż' wywodzi się z 'g' francuskiej pisowni.

Jest jeszcze taki drobiazg zwany z dawna **antabką**. Lepiej nazywać go bączkiem, brzmi bardziej po polsku. Dobra rada: antabka to pozostałość po sąsiadach zza Odry, używajmy polskiej nazwy 'bączek'. Tym bardziej że znany jest ten bączek (ptak wodny) z polowań na kaczki, gdy przelatuje cichym lotem z jednej kępy trzcin do drugiej i odzywa się niezwykłym „szczekliwym” głosem w szuwarach. A więc bączek jako metalowy uchwyt do paska broni myśliwskiej.

Litera 'b' ma bogate przedstawicielstwo haseł. W słowniku, który jest w moim opracowaniu, po



wyeliminowaniu hasel niełowieckich i tworzonych sztucznie, jest ich 76, od 'babrzysko' do 'byk'. I na początek należy się wyjaśnienie: babrzysko spełnia funkcje znaczeniowe zbliżone do 'tarzawiska' i 'paprzyska'.

Babrzysko jest miejscem błotnej kąpieli jeleni i dzików. W tarzawisku kąpią się (tarzają) zwykle żubry, ale nie w błocie, a w piasku; podobne piaskowe kąpiele sprawia sobie ptactwo w paprzysku: tam się paprze. A wszystkie te miejsca noszą ogólną nazwę 'kąpieliska', łącznie z wodnymi kąpieliskami łosi.

W kolejce do wyjaśnienia stoją dwa pokrewne wyrazy: **badylarz** i **badyl**.

Pierwszy to wspólne określenie łosi i danieli o charakterystycznym „jelenim” porożu. Tym mianem nazwiemy także poroże łosi i danieli oraz zdobyte przez myśliwego trofeum o takiej formie. Drugi wyraz (badyl) ma więcej znaczeń. Tak nazwiemy nogi łosia, jelenia i daniela, poroże łosia i daniela o wspomnianej formie oraz trofeum (badyle to trofeum z byka badylarza). Badylami nazywamy też zrzuty byków badylarzy.

Wiele nieporozumień sprawiły niektóre podręczne słowniki, nieporadnie formułujące zdania hasłowe. O tym, jak trudno jest bezbłędnie wyjaśnić znaczenie różnych pojęć języka łowieckiego, świadczy casus z **bałykowaniem**: jest to według jego autora (tego słownika) czołganie się, pełzanie na brzuchu psa myśliwskiego. Nie można dociec, co takiego pełza na brzuchu psa myśliwskiego (Hoppe uniknął tu niezamierzonego żartu!), więc trzeba wyjaśnić, że bałyk to sposób poruszania się psa myśliwskiego, polegający na pełzaniu, czołganiu się, a bałykowanie to właśnie takie pełzanie. Figlarna stylistyka często sprawia kłopoty, a i szyk wyrazów w zdaniu myli sens wypowiedzi.

O strzale do zwierzyny grubej na komorę mówimy, że to **strzał na polec**, czyli do boku. Na szczęście wychodzi już z użycia **strzał na blat**, bo to germanizm. Rodzajem strzału na polec jest **strzał na bark**. Bark to łopatką zwierza, kula tam ulokowana zwykle powala w ogniu.

Ubarwieniem (nomen omen) łowieckiego języka jest dawna **barwa**. Przypisuje się jej dwa znaczenia: pierwsze, już wychodzące z użycia, to krew zwierzyny. Wyparła ją z zasobów językowych dzisiejsza **farba**. Ale funkcjonuje jeszcze inne słowo: **jucha**. Określa ono krew niedźwiedzia, choć częstsze jest w takich związkach wyrazowych, jak **puścić komuś juchę**, **wytoczyć juchę**, a nawet **rozjuszyć**. To ostatnie jest wyrazem stanu emocjonalnego kogoś, komu puszczono juchę!

Drugim znaczeniem barwy jest suknia zwierzyny, przy czym należy rozumieć je szeroko: zarówno

czworonożnej, jak i skrzydlatej. Pokrewne **wybarwić** jest wystarczającym wyjaśnieniem, bo wiemy, co znaczy **wyfarbować**.

Do wcześniej omówionych 'badyli' należałoby dodać **biegi**, oczywiście w zakresie znaczeniowym dotyczącym nóg zwierzyny. Pojęcie to jest szersze niż potocznie stosowane, bowiem dotyczy, prócz dzików, także innej zwierzyny grubej: łosi, jeleni, a także muflonów. Zwykle nogi zwierzyny płowej (prócz sarny) nazywane są **badylami**, natomiast czarnej **biegami**. Ale można w stosunku do pierwszych użyć określenia 'biegi'.

Częstym przykładem braku wyczucia językowego jest mylenie **bielenia** z **obieleniem**. Bielenie to oczyszczanie i odtłuszczanie czaszek, natomiast obielanie to skórowanie (dotyczy zarówno zwierzyny grubej, jak i drobnej). W przypadku zajęcy i dzikich królików możemy mówić o **osmużaniu**.

W „temacie”, jak to się ostatnio modnie nazywa, broni i amunicji wyjaśnienia wymagają dwa terminy. Pierwszy to **bok**. Często koledzy myśliwi z uporem godnym lepszej sprawy piszą „z niemiecka” przez 'c': **bock** lub jeszcze gorzej – **Bock!!!** Pisałem o tym wielokrotnie. Otto Bock to konstruktor broni o pionowym układzie luf. Od jego nazwiska pochodzi spolszczony 'bok' (co znaczy po polsku, wszyscy wiedzą!), ale pisany od małej litery. A więc strzelamy z boka wynalezionej przez Bocka! I odpuśćmy już sobie **nadlufkę**, **podlufkę** i wszelkiego rodzaju dziwaczne pomysły, nawet bowiem **dwulufka** wyszła z użycia na rzecz **dwururki**, czyli **dubeltówki**.

Drugi termin, znajdujący się w zupełnie innej sytuacji, to **breneka**. Wzięła się w polszczyźnie z niemieckiego 'Brenneke' (od nazwiska wynalazcy, Wilhelma Brenneke), została przyswojona jako breneka i nic nie wskazuje na to, by jakkolwiek neologizm wyparł ją z użycia. Nawet takiego pomysłu nikt nie miał. Istnieje tylko opisowy sposób jej nazwania: pocisk kulowy do broni o lufach gładkich, ale tak przecież nikt nie będzie jej nazywał.

Grupę hasel na literę 'b' kończy krótki, ale tylko w piśmie, wyraz **byk**. Nie trzeba tłumaczyć, co on oznacza. Ale trzeba znów, kolejny raz, powiedzieć i napisać: byk łosia, byk jelenia, byk daniela. I nie inaczej. Zwolennikom innego porządku wyrazów w tym związku wyrazowym proponuję zabawę: jeśli daniel byk, to jak nazwiemy samicę daniela? Daniel łania? Trochę to niezrozumiałe, bo w końcu to on czy ona? I nie po polsku!

Trzecią grupę hasel, na literę 'c', rozpoczniemy od wyrazu i zwierza, od którego kolokwialnie „jedzie”: **cap!** Kto nie spędzał dzieciństwa na zapadłej wsi, gdzie wyznacznikiem zamożności mieszkańców było posiadanie kozy, ten nie może wiedzieć, co to cap.

O ile koza jest zwierzęciem miłym i dochodowym (zdrowe mleko i mięso), o tyle cap śmierzdzącym dar-mozjadem. Trzymany tylko w celu zachowania koziego gatunku! Więc jeżeli takie cuchnące bydlę dosta-piło zaszczytu wyniesienia na piedestał łowieckiego języka dla określenia pełnego gracji i uroku rogacza, samca sarny, to wszelkie dysputy są zbędne. Rogacz to nie cap!

Takie te hasła z negatywnym wydźwiękiem. Kolej-ne: **chłyst**! Spotykamy się z nim na rykowisku. To taki byczek, któremu stadny byk nie pozwala na poufa-łości. Więc go ustawicznie odpędza; czy skutecznie, nie wiadomo! Innym gatunkiem towarzysza z ryko-wiska jest **kibic**. Ten, niby dopuszczony do konfiden-cji, pałęta się wśród chmary tolerowany przez pana i władcę, ale pomny losu chłysta, wie, co mu wolno! No i pamiętajmy: chłyst, nie chłystek!

Przykładem bogactwa języka łowieckiego jest odmienność znaczeń **chorągwi** i **chorągiewki**. Te pierwsze, inaczej flagi, to strzępy scypułu na porożu byka, pozostałe w trakcie wycierania, zdrobnienie zaś: 'chorągiewki' to kolorowe szmatki zawieszane na długim, często kilometrowym sznurze, służącym do otaczania ostępu z wilkami. Ten sznur to **fladry**. Dziś **fladowanie ostępu** jest już przeszłością.

Wiele znaczeń ma czasownik **ciągnąć**. Może zwierzyna na myśliwego, jeśli myśliwy ma szczęście; strzelba, jeśli dobrze bije; może ptactwo na przelo-tach a zwierzyna z miejsca na miejsce; wreszcie nie wolno ciągnąć lufami przez linię myśliwych!

Przymiotnik **czarny** to określenie zwierza (np. dzika), także o łowach na czarnym polu (beźśnieżnym) i czarnej stopie.

Wyraz **czok** zrobił ostatnio niezwykłą karierę z po-wodu upowszechnienia strzelb z wymiennymi czo-kami. Należy tylko pamiętać o pisowni: nie 'chocke'! Piszmy po polsku!

No i na koniec mające wiele znaczeń **czyścić**. Używamy w znaczeniu skutecznej pracy norowców, gdy czyszczą norę, ale także o myśliwym – zawodni-ku na strzelnicy, który zrobił maksymalny wynik w ja-kiejś konkurencji lub jej części: np. wyczyścić dublety. Po ubiciu samca grubego zwierza trzebi go się lub czyści, a tenże zwierz w swoim życiu czyści poroże, gdy jest już wykształcone.

Gdy przeglądam różne pisma łowieckie, często spotykam całkiem odmienne słownictwo. Jego użyt-kownicy są przekonani o poprawności, ale to prze-konanie jest złudne. Nie może być poprawne to, co jest błędne!

Ponad 60 słów języka myśliwskiego rozpoczynają-cych się od litery 'd' udało mi się zdefiniować w moim słowniku. Celowo piszę, że języka myśliwskiego, po-nieważ w innych słownikach, także Hoppego, za-

mieszczone są hasła niebędące czysto łowieckimi. Tak więc 'daniel', 'drapieżne ptaki', 'drop', 'dzik', 'dzika gęś', 'dzikie kaczki', a z innych źródeł także: 'degeneracja', 'degeneracja dziedziczna', 'degeneracja osobnicza', 'derkacz', 'dołek strzelecki', 'dominacja społeczna', 'do-pasowanie broni', 'drapieżne ssaki', 'drapieżnik', 'drozd kwiczoł', 'drozd paszkot' i wiele innych podobnych, których już nie wymieniam, by nie mnożyć oczywi-stych pomyłek i sztucznie tworzonych „nowych” ha-seł, nie są w zasobie języka łowieckiego. Te wyrazy są zrozumiałe dla wszystkich posługujących się mową polską na poziomie podstawowym. To stwierdzenie konstruuje szczególnie dla tych, którzy bezkrytycznie przyjmują uchodzące za klasykę słowniki łowieckie, czerpiąc z nich poza tym „życiową” wiedzę.

Pomijam takie błędy, jak używanie raz liczby po-jedynczej, innym razem (bez potrzeby i uzasadnie-nia) mnogiej (dzika gęś, dzikie kaczki) lub tworzenie wielości z jednego wyrazu (p. degeneracja, d. dzie-dziczna, d. osobnicza). Nie wymienię tu wszystkich uchybień, ale dodam, że zaczerpnąłem je wyłącznie z haseł na literę 'd'!

Jeszcze jedna dygresja do tematu zasadniczego: na smętny obraz naszego słownictwa łowieckiego, języka łowieckiego, prócz zapóźnień wydawniczych, ma znaczący wpływ radosna „twórczość” dnia po-wszedniego! Każdemu, no może niemal każdemu, kto przejrzał lub przekartkował kilka opowiadań gazetowych „literatów”, wydaje się, że posługuje się najczystszą gwarą łowiecką! Święty Hubercie, gdybyż odróżniali gwarę od języka!

Charakterystyczna dla języka łowieckiego jest „wielobarwność” znaczeń. Ot, weźmy na przykład pierwsze hasło na literę 'd': **dać**. Mój niewydany jeszcze słownik przypisuje temu wyrazowi dziewięć znaczeń. Od zachowania myśliwego (**dać ognia, d. strzał, d. wyprzedzenie**), psa myśliwskiego (**dać głos**), zwierzyny (**dać farbę, d. kominek, d. słup-ka, d. wiatr**), aż po element szkoleniowy (**daj głos!** – polecenie dla psa). W tak obszernym zakresie zna-czeń jak fałszywa struna („Targowica” w Koncercie Jankiela) brzmi upowszechnione ogólnopolskie **oddać**! Można oddać dług, łopatę sąsiadowi, poży-czoną szklankę cukru, ale nie można 'oddać strzału'. Strzał bowiem nie jest rzeczą, czymś przechodzą-cym z ręki do ręki, zmieniającym właściciela; strzał jest czynnością podobną do jakże przecież bliskie-go myśliwym związku wyrazowego 'dać głos'! Pies nie oddaje nam głosu, pies go daje z siebie, jak my-śliwy strzał z dubeltówki.

Wprawdzie mamy zwrot 'oddać sprawiedliwość' (również 'dać wolną rękę'), ale są to pojęcia wzięte z języka ogólnopolskiego, od którego język łowiecki często odbiega także w regułach gramatycznych.

Przypomnijmy odległe już nieco w czasie polowanie na głuszcze na tokach. O świcie, słuchając grania koguta, w takt czwartej zwrotki jego pieśni, dajemy dwa lub trzy kroki, by zastygnać po nich w bezruchu do następnej pieśni. Mówimy wtedy o 'podskakiwaniu koguta'! Trochę wbrew regułom gramatycznym, bo podskakiwać można w stronę koguta lub do koguta! Ale na tym właśnie polega odrębność, nawet gramatyczna, języka łowieckiego.

W każdej łowieckiej sytuacji, gdy mowa o strzelaniu, należy **dać strzał!** Dać strzał do szaraka, dzika, rogacza i rzutka! A oddać pożyczone pieniądze przed pierwszym, bo wierzycielowi też są potrzebne!

Poświęćmy jeszcze chwilę myśliwskiemu **darz bór**. Źródłem tego hasła jest wiersz Stanisława Wywinińskiego sprzed 90 lat, przedstawiony w Poznaniu na zjeździe leśników. Refren tego wiersza brzmi:

My borów włodarze

Stajem przy sztandarze.

Darz Bór! – tak hasło brzmi,

Gra hejnał chór –

Darz Bór! – Darz Bór!

Z tego zawołania, będącego początkowo jednoznacznie pozdrowieniem, wyrosło wiele znaczeń. Dziś jest to zarówno powitanie, jak i pożegnanie, życzenie, jak i forma gratulacji, nazwa własna, tytuł utworu i przedmiot obrotu (przed wojną handlowano 'darzbarami', nabojami myśliwskimi).

Różna jest również pisownia w zależności od znaczenia, zgodna z pisownią innych wyrazów języka ogólnopolskiego. Razem i osobno, od wielkiej i małej litery. Choć i tu, podobnie jak niezrozumiały dla mnie (również pod względem możliwości!) iPod lub MacBook, do przyjęcia byłaby pisownia DarzBór!

Jeszcze w ubiegłym wieku, czego dziś nikt nie pamięta, poprawna była pisownia: armja, Marja, a sto lat wcześniej Marya! Panta rhei!

Gdy w wyborze humoru z zeszytów szkolnych przeczytałem rewelacyjne, choć trochę groteskowe, zdanie: Krasicki jadał obiady tylko w czwartki, pomyślałem, że jest ono wzorem „szczelności” słów. Samo jedzenie obiadu nie znaczy nic poza faktem jedzenia obiadu. Jedzenie go w jakikolwiek dzień tygodnia nie jest żadnym wydarzeniem, a jedzenie w czwartek tym bardziej. Co innego, gdyby to był na przykład obiad niedzielny: wiadomo, w niedzielę trafiają się goście.

Rozszczelnia te słowa 'obiad' i 'czwartek', a właściwie związek wyrazowy 'obiad czwartkowy', druga część zdania podana w wyborze z zeszytów: w inne dni król go nie zapraszał. Zimna logika autora niezamierzonego, ale obnażającego zagubienie umysłowe, żartu, wyjaśnia powód wstrzemięźliwości dietetycznej Krasickiego. Zapraszano go (księcia biskupa)

tylko w czwartki! Związek wyrazowy 'obiad czwartkowy' żyje podwójnym życiem. Bez obciążenia historycznego (wiedzy historycznej) jest to obiad jedzony w czwartek, tak jak 'obiad niedzielny' jest obiadem jedzonym w niedzielę. Dopiero, gdy widzimy spotkanie elity umysłowej końca XVIII wieku, ludzi kultury rozumianej najszerzej, spotkanie na zaproszenie Króla i w przytomności Majestatu, 'obiad czwartkowy' jawi się nam nie jako pomidorówka i mielony, ale uczta umysłowa najwyższego lotu u światłego władcy na królewskim zamku!

Od dygresji ogólnej przechodząc do spraw słownikowych, przyjrzyjmy się różnym wyrażeniom i ich znaczeniom.

Pierwsze: **dostać**

1. Dostać strzał, d. kulę, być trafionym; rogacz dostał kulę na komorę.

2. Upolować zwierza, zdobyć trofeum; chciałem dostać tego byka.

Drugie: **dublet**

1. Dwa celne strzały dane przez jednego myśliwego bezpośrednio do dwóch celów; zrobić dublet.

2. Dwie sztuki zwierzyny strzelone tymi dwoma strzałami; strzelić dubleta, popisać się dubлетem.

3. Część konkurencji sześcioboju myśliwskiego, dwa podane lub strzelone rzutki, z dwóch wieżyczek na kręgu myśliwskim, także na osi i przelotach; strzelać dublety, zrobić czyste dublety (tzn. zaliczyć wszystkie), wyczyścić dublety.

Trzecie: **dzikarz**

1. Myśliwy z upodobaniem oddający się łowom na dziki.

2. Pies myśliwski, np. jagdterier, ułożony i polujący na dziki.

Zwróćmy uwagę na dwa różne znaczenia słowa 'dostać'. W pierwszym dotyczy zwierza i trafienia go kulą. W drugim mówi o myśliwym i jego pragnieniu zdobyczy. Drugie słowo 'dublet' ma aż trzy znaczenia: dwa celne strzały, dwie sztuki zwierzyny trafione kolejnymi strzałami i część konkurencji, m.in. na kręgu myśliwskim. Trzecie słowo 'dzikarz' dotyczy, podobnie jak w pierwszym przypadku, zarówno zwierzęcia, jak i myśliwego.

Nieco odmiennie rysuje się nam zakres znaczeniowy nazw byków jeleni i ich poroży oraz zdobytych trofeów. Nazwy te tworzy się w zależności od liczby odnóg na tykach: **dwudwudziestak**.

1. Byk jelenia mający przynajmniej na jednej tyce 11 odnóg, wtedy **nieregularny**; gdy na każdej 11 – **regularny**.

2. Na tej samej zasadzie tworzy się nazwy **cztero-, sześćco-** i **ośmiodwudziestaka** oraz większe.

3. **Poroże, wieniec, oręż** tego byka, nazwa trofeum z tego byka.

Jeśli na tyce występują dwie odnogi, to będzie **widlak**, a jeśli trzy odnogi, to **szóstak**.

Zakładam, że rozumiemy te hasła tak, jak dyktuje to tradycja i zadomowienie wśród myśliwskiej braci, że nie są to terminy li tylko słownikowe, że nie są jak ten ostatni kęs i złom użyty do pamiątkowej fotografii, jak ten obiad jedzony w czwartek. Jedzmy obiady także w pozostałe dni tygodnia, nie tylko w czwartki, gdy zaprosi nas król polowania na ostatni miot!

Piszę o tym dlatego, by pamiętać: nie dla fotografii i nie dla tego rozciągniętego zwierza kultywowanie tradycji potrzebne jest nam, myśliwym; tym odróżniamy się od dzikusów pędzących z maczugą za uciekającą górą mięsa! Więc ten czwartek z obiadem jest symboliczny, jak patyk w gębie byka!

Na koniec dotyczące sposobu poruszania się hasło: **dyndować**, to jest poruszać się charakterystycznym dla drobnych drapieżników swobodnym truchtem, lis dynduje (nie: dynda!). Wszak dyndanie jest cechą ostateczną wisielców!

Skomentowałem kiedyś fotografię z polowania, na którym nie zachowano etycznych zasad łowieckich. Zasad przyjętych przez myśliwych dobrowolnie w akcie ślubowania:

„Przystępując do grona polskich myśliwych, ślubuję uroczyście:

przestrzegać sumiennie praw łowieckich,
postępować zgodnie z zasadami etyki łowieckiej,
zachowywać tradycje polskiego łowiectwa...”

Spotkałem się z zarzutem przesady. Takie zarzuty słyszę często, gdy prostuję błędy językowe naszej myśliwskiej mowy, przecież wchodzącej w skład odwiecznych, staropolskich tradycji. Niegdyś karano takie odstępstwa smyczą lub podrąbywano winnego z drzewem, dziś, w dobie zdominowanej przez nowomowę, dawny język przodków zanika lub jest kaleczony. Gorzej, gdy błędzycym po omacku wydaje się, że tworzą nową tradycję!

Po wielokroć pisałem o pomyłkach wynikających bądź z niewiedzy, bądź z chęci „zabłyśnięcia” obcą regułą: o tych wszystkich ‘bockach’, ‘gładkolufowych’ strzelbach, ‘szpicerach’. Dziś dodam jeszcze jeden: **ekspres** jest to sztucer dwulufowy o tym samym kalibrze obu luf w układzie poziomym lub pionowym (**ekspres-bok**). Znaczący, wywodzący swoje umiejętności z jednodniowych kursów, piszą: express. Bo to pachnie zagranicą! Jak chińskie trampki pumą!

Szczególnym rodzajem broni kombinowanej jest **dryling-ekspres**, gdy mamy do czynienia z dwoma lufami kulowymi i jedną śrutową. Wyjaśniając fenomen przyswajania germanizmów (podobnie z breneką), dorzucę informację, że polskie odpowiedniki drylingu **trojak** i **trójlufka** są używane i poprawne,

choć ten pierwszy rzadziej z racji wieloznaczności. Trojak nie przyjmie się także z tego powodu, że nikt nie zaproponował ‘dwojaka’.

Wiele treści wywiodło się ze zwykłej farby, która znaczy: krew (tylko przypadek sprawił, że zdanie zabrzmiało jak z tytułu tej obelżywej, lecz równocześnie schizofrenicznej spowiedzi „nawróconego” myśliwego. Skandalizująca ta książka spowodowała wzburzenie w środowisku myśliwskim, a nie powinna w tym! Raczej powinna w medycznym, bowiem ta choroba jest nie taka, jak w obiegowym pojęciu się ją rozumie. Znalazłem w mądrym opracowaniu: podstawowym objawem schizofrenii jest rozszczepienie pomiędzy myśleniem, zachowaniem, emocjami, sferą motywacyjną, ekspresją emocji, przejawiające się m.in. w niedostosowaniu zachowania, emocji pacjenta do sytuacji i treści jego wypowiedzi. Zaburzenie dotyka pierwotnie zdolności poznawcze, ale znaczenie mają także przewlekłe problemy z zachowaniem i emocjami. U osób ze zdiagnozowaną schizofrenią zwiększone jest prawdopodobieństwo wykrycia zaburzeń współtowarzyszących, takich jak depresja i zaburzenia lękowe.

Tyle cytatu, a autorowi książki (nie cytatu!) życzę powrotu do normalności i zdrowia.

Wracamy do języka: **farba**

1. Krew zwierzyny; iść za farbą, gonić za farbą, pokazać farbę, pracować na farbie, dawniej: barwa, p. puścić farbę.

2. Praca posokowca na sfarbowanym tropie, głównie na konkursach.

farbować

1. Dać farbę, farbować trop: zostawiać farbę na śladach.

2. F. się, zmieniać upierzenie, sierść, przybierać suknię zwierza dorosłego, zmieniać sierść na zimę, okresowo.

farbowik

młody kogut głuszca, cietrzewia, bażanta, ale już opierzony, wyfarbowany.

farbówka

wyfarbowana kuropatwa;

by poznać jego różnorodność i bogactwo!

By zaś pokazać, że nie tylko język niemiecki pozostawił w naszym słownictwie ślady, przytaczam hasło:

fuzja

dawna nazwa strzelby, śrutowej broni myśliwskiej, żartobliwie – fuzyjka, co wywodzi się wprost z francuskiego *fusion*. Pobrzmiewa też echem w fuzji spółek handlowych, ale to już poza łowiectwem.

Chociaż kto wie? Wpływy św. Huberta są nieodgadnione, może godne komisji śledczej?



Moja sztuka *jest* *kobietą*

Rozmawiała: Aleksandra Dzięcioł-Gęsiarz

Zdjęcie: Anna Sielska

– Co spowodowało, że zdecydowałaś się poświęcić swoje życie sztuce? Jaki był pierwszy impuls?

– Zadebiutowałam jako ekspresyjna abstrakcjonistka bodajże w wieku lat czterech na ścianie w pierwszym mieszkaniu moich rodziców. Wtedy to był dziecięcy wybryk, ale odtąd blok rysunkowy i wszelkiego rodzaju kredki stały się moją codziennością, a rodzice zawsze dbali, aby mi ich nie brakowało. Bardzo wspierali mnie w mojej pasji i koniecznie końców wylądowałam w katowickim liceum plastycznym, wiedząc żywot kolorowy pośród równie ciekawych osobowości. Liceum to była wspaniała zabawa, przygody i pierwsze naprawdę poważne przyjaźnie. Tak naprawdę zrozumiałam, jaką ścieżką chcę podążać, gdy nie dostałam się na katowicką ASP. Zazwyczaj najbardziej motywująco działają na mnie sukcesy, lecz nie tym razem. Pierwsza poważna porażka paradoksalnie tak rozwinęła mi skrzydła, że ostro wzięłam się do pracy i za rok dostałam się na trzeciej lokacie.

– Jak wyglądała Twoja droga artystyczna?

– Studia to było kolejne pięć cudownych lat. Tym razem oprócz doskonałej zabawy była intensywna praca. Mieliśmy studencką grupę artystyczną, organizowaliśmy sobie pierwsze wystawy, braliśmy udział

w konkursach, wszędzie było nas pełno. Mieliśmy fantastycznych profesorów, którzy zarażali nas pasją i sami tworzyli wspaniałą sztukę. Podziwialiśmy ich, chodziliśmy na wystawy. Zapisaliśmy się wtedy całą bandą do pracowni prof. Romana Kalarusa i tak odkryliśmy sztukę plakatu. Atmosfera na tej uczelni zawsze była szczególna. Nasi mistrzowie byli bardzo otwarci, traktowali nas jak młodszych przyjaciół. To było wyjątkowe miejsce. Po studiach każdy odleciał w swoją stronę, choć stale byliśmy (i nadal pozostajemy) w kontakcie. Dostałam propozycję pracy na uczelni i dwa lata po dyplomie zostałam asystentką w pracowni plakatu prof. Kalarusa. Sztuką plakatu już byłam pochłonięta od studiów. Nasz Mistrz zawsze zachęcał nas, abyśmy wysyłali swoje prace na światowe wystawy i tak moje plakaty zaczęły wędrować po kuli ziemskiej. Rozpoczęłam wtedy współpracę z Krzysztofem Dydo, który jest najznakomitszym mecenasem polskiego plakatu na świecie. Bardzo wiele moich plakatów promowało wystawy z jego niesamowitej kolekcji. Równolegle, gdzieś zupełnie z boku, powstawały niewielkie rysunki, ilustracje, które były zapisem moich przemyśleń, uczuć i emocji.

– Jak wygląda tworzenie Twoich plakatów i ilustracji w praktyce?





25 BIENNALE PLAKATU POLSKIEGO KATOWICE 2017



*monika
glazun*

– Po prostu rozkładałam swoje zabawki, rysowałam wszelkiej maści, szkicownik i zabieram się do dzieła. Nie posiadam niestety pracowni i wszystko rozgrywa się w moim pokoju. O ile w sprawach rysunku słucham tego, co mi w duszy gra i przenoszę to na papier, o tyle z plakatem sprawa wygląda inaczej. Plakat jest sztuką na zamówienie. Powinien być konkretnym, atrakcyjnym wizualnie komunikatem. Dobry plakat powinien mieć taką siłę, żeby ściągnąć ludzi na najbeznadziejniejszą imprezę w mieście. On ma sprawić, że wszyscy zechcą tam przyjść. Zatem najpierw jest praca koncepcyjna, mnóstwo notatek, szkiców, a potem zaczyna się praca nad formą. Nie-



które plakaty przychodzą same do głowy. To jest impuls, widzę pewien obraz i staram się przenieść go na papier, a potem na skaner. Bo skaner to wielki przyjaciel współczesnego plakacisty. Generalnie to cudo, że technologia tak bardzo nam dziś ułatwia pracę, przyspiesza wiele procesów, a jednocześnie pozwala na zachowanie żywego graficznego śladu. Czasami jest też tak, że nic nie przychodzi do głowy i etap pracy koncepcyjnej trwa nawet kilka dni.

– *Ile w tego rodzaju twórczości jest improwizacji, a ile realizacji zamysłu?*

– Tak jak wspomniałam – wszystko zależy od tego, czy jest to praca na konkretne zamówienie, czy zapisujemy sobie kawałek swojego życia i mamy wtedy

wolność twórczą. W plakacie mogę sobie improwizować formalnie, ale nie mogę zapominać o czytelnym komunikacie. W rysunku to są moje osobiste komunikaty. Wysyłam je w świat i czasami, o dziwo, ktoś podejmuje dialog. To bardzo inspirujące.

– *Co pobudza Twoją kreatywność, skąd czerpiesz natchnienie? Czy masz jakieś sekretne rytuały?*

– Czasem ktoś daje impuls, czasami coś zobaczę, czasem przychodzą myśli, skojarzenia. Czuję, że muszę coś narysować. W sztuce jest coś z czarowania, to jest jak rzucanie zaklęć na papier czy płótno. Zatrzymanie pewnej myśli, rozwiązanie problemu, wyrzucenie emocji. Fascynujące jest, jak czasami odbiorcy reagują na moje prace. Odczytują zawoalowany komunikat niemal podświadomie. To ciekawe. Nie stosuję żadnych specjalnych rytuałów. Samo rozrzucone narzędzi wokół siebie i otwarcie szkicownika jest rytuałem, a potem już, jak śpiewa Roman Nowotarski (jeden z moich ukochanych Mistrzów i artystów) – szaleć wyobraźnią!

– *Głównym motywem Twojej twórczości jest kobieta. Dlaczego to właśnie temu motywowi poświęcasz najwięcej uwagi?*

– Zawsze rysowałam kobiety i najczęściej wyrażam się poprzez kobiece postaci. W zasadzie moja sztuka jest kobietą – czasem wyniosłą damą, czasem leśną czarownicą, boginią albo zamyśloną zakochaną dziewczyną.

Zawsze fascynowały mnie postaci kobiece. Kiedy byłam małą dziewczynką, marzyłam, żeby mieć figurę Maryi. Nie po to, żeby się pod tą figurą modlić, ale żeby ją podziwiać i codziennie na nią patrzeć. Była dla mnie kwintesencją piękna ze swoim wewnętrznym spokojem, delikatną urodą i harmonią. Żeńska boska energia. Kilka lat temu pojawiły się ruchy kobiece, które zajęły się poszukiwaniem pierwotnej harmonijnej kobiecości. Długie włosy, spódnice, spotkania w kręgach. Wiele kobiet zaczęło poszukiwać, nabrało apetytu na rozwój osobisty i budziło swoją świadomość, odbudowując wewnętrzną harmonię. Przyszedł czas wiedźm, czyli kobiet mądrych, świadomych swojej wartości jako przeciwwaga do wojującego i agresywnego feminizmu. U mnie to wybuchło cyklem pt. „Wcielenia” – całkowicie poświęconemu kobiecie.

– *Z jakich swoich prac jesteś najbardziej zadowolona?*

– Mam kilka ukochanych rysunków i plakatów na tzw. sto procent. To są te prace, które pojawiły się w głowie błyskawicznie i od razu były gotowe. Trochę ich się nabrało. Trudno mi teraz wymieniać te wszystkie tytuły. Część z nich to plakaty, ale są pośród nich rysunki, z którymi chyba nie chciałabym się rozstawać.

– *Co chciałabyś przekazać za pomocą swoich prac?*

– Zawsze siebie. No, chyba że jest zamówienie na plakat, ale wtedy też siebie, czyli idea w mojej osobistej charakterystycznej formie.

– *Czy Twoja praca i twórczość łączy się z Twoją pasją jaką jest łowiectwo?*

– Nie podejmuję tematów myśliwskich, choć te wszystkie niezapomniane chwile, które spędzam w łowisku, cuda natury, których jestem świadkiem podczas polowania, są w pewnym stopniu inspiracją. Nie wprost, ale są. Nie mogę powiedzieć, że myślistwo to moje całe życie, bo mnie fascynuje tak wiele spraw, ale na pewno jest bardzo istotną jego częścią, która idealnie współgra z całą resztą moich pasji i czyni moje życie pięknym.

– *Pracujesz ze studentami, dla wielu z nich jesteś mentorem, a kto był Twoim mistrzem?*

– Bardzo wiele radości sprawia mi praca z tymi wspaniałymi, tak utalentowanymi ludźmi. Nie wiem, czy jestem dla nich mentorką, ale oni chyba dobrze czują się w pracowni plakatu, bo chętnie u nas przesiadują, nawet jak nie muszą. I rozmawiamy o wszystkim, nie tylko o sztuce. To miłe. Staram się podchodzić do nich tak, jak moi Mistrzowie – Roman Kalarus i Roman Nowotarski, czyli po przyjacielsku. Oni zawsze byli prawdziwi i otwarci na nas. To rozwijało nam skrzydła, osiągaliliśmy sukcesy, a oni wtedy byli dumni. Ja też jestem dumna z moich studentów – są naprawdę wyjątkowymi i pięknymi ludźmi. Cieszę się, że mogę pracować z moim największym Mistrzem Romanem Kalarusem. Jego niepowtarzalny styl, osobowość, kipiące erotyzmem prace mocno mnie ukształtowały i zawsze były dla mnie bardzo inspirujące, co uważniejszy odbiorca sztuki potrafi odnaleźć w tych moich nie całkiem ubranych kobietkach. Wraz z moim Mistrzem Kalarusem odwiedzamy czasami naszego wspólnego Mistrza Romana Nowotarskiego, który jest również wielkim artystą i choć na profesorskiej emeryturze – wciąż intensywnie maluje w swej zabrzańskiej pracowni przepiękne obrazy. Chyba nikt tak poetycko nie portretuje Czarnej Ślaska jak on. To człowiek legenda, zaprzyjaźniony ze słynną krakowską Piwnicą Pod Baranami, malarz, scenograf, autor tekstów i muzyki. Oni obydwaj są dla mnie ogromnie ważni.

– *Brałaś udział w wielu wystawach i przeglądach plakatu w kraju i za granicą. Powiedz nam jednak, gdzie można kupić Twoje dzieła?*

– Jeśli ktoś z miłych czytelników jest zainteresowany moimi pracami, powinien kontaktować się bezpośrednio ze mną. Instytucja marszanda w powojennej Polsce jakoś umarła i nie bardzo zechciała odrodzić się w postpeerelowskiej rzeczywistości. A szkoda!

Z myśliwskim pozdrowieniem Darz Bór!

Monika Starowicz – absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Doktor habilitowany sztuki, adiunkt w pracowni plakatu prof. Romana Kalarusa na katowickiej ASP. Zajmuje się grafiką, rysunkiem, ilustracją i projektowaniem – głównie plakatu.



Nauka – łowiectwu łowiectwo – nauce

Rozmowa z Prof. dr. hab. Piotrem Tryjanowskim



Rozmawiał: Jacek Seniów

Zdjęcia: Tomasz Stasiak

Archiwum Piotra Tryjanowskiego

– Z wywiadów prezentowanych także na łamach PASJI i prowadzenia działu naukowego w BRACI ŁOWIECKIEJ wnioskuję, że temat badań łowieckich jest Panu Profesorowi w jakiś sposób szczególnie bliski. Jak to się stało, że będąc osobą, która nie poluje, tak chętnie korzysta Pan z tych danych?

– Odpowiedź siłą rzeczy będzie nieco złożona, bo materia jest skomplikowana. Korzystam z nich, bo po pierwsze – istnieją, a po drugie – interesuję się analizą danych długoterminowych. To one pozwalają nam sięgnąć w głąb tego, co działo się z naszym środowiskiem na przestrzeni ostatnich dekad. W pamięci mam też historię ekologii i te proste, znane z klasycznych podręczników obrazki pokazujące trajektorię relacji drapieżca – ofiara. Cała ta koncepcja bazowała na analizie liczby skór trafiających do punktów skupu. Niby prosta rzecz, a tak naprawdę dająca początek ekologii populacji. Może ta część ekologii swoje lata świetności ma już za sobą, jednak wciąż wierzę, że ma przed sobą przyszłość. Ciągle brakuje nam odpowiedzi na sporo kluczowych pytań. Wciąż pojawiają się nowe informacje, komputery są coraz szybsze, a my nadal mamy problemy z przewidywaniem zmian liczebności popu-

lacji w czasie i przestrzeni. A to rzecz fundamentalna dla łowiectwa, ochrony przyrody, a nawet – jak ostatnio pokazała sytuacja z ASF – epidemiologii.

– A co z jakością tych danych? Przecież informacje pochodzące od myśliwych są często kwestionowane przez tak zwane środowiska ekologów.

– Zależy z jakich danych zamierzamy korzystać. Na przykład z prostym użyciem informacji, z tak zwanych tropień i przeliczaniem ich na wskaźniki liczebności, byłbym bardzo ostrożny. Zwłaszcza tymi zbieranymi w ramach pracy kół łowieckich do przygotowywania planów pozyskania. Jednak istnieją przecież i inne dane, finansowane i zbierane przez myśliwych, a oparte o bardziej zaawansowane metody, wykorzystujące na przykład informacje o indywidualnie znakowanych osobnikach. Sam miałem okazję wielokrotnie pracować na znakomitych bazach pochodzących z łowiska położonego wokół Stacji Badawczej PZŁ w Czempiniu. Wzorowo uporządkowane materiały, z notatkami na temat miejsca, masy, wieku i wielu parametrów biologicznych upolowanej zwierzyny. Doskonałe dla zrozumienia funkcjonowania dynamiki populacji dzika, sarny, lisa. Zresztą

wyniki naszych zespołowych badań publikowaliśmy w bardzo dobrych czasopismach branżowych: "Wildlife Biology", "Journal of Wildlife Management", "Wildlife Research", "Oecologia". Metodyka, sposoby analizy danych, sam pomysł i jego dyskusja przechodziły sito wnikliwych, specjalistycznych recenzji. Mam wrażenie, że znacznie ostrzejszych niż w przypadku wielu prac wykorzystujących na przykład dane monitoringowe pochodzące od przypadkowych obserwatorów przyrody. Dane, niezależnie od tego, kto je zbiera, mogą być dobre lub złe i naukowiec zawsze powinien, zarówno do metod zbioru danych, jak i ich analiz, podchodzić z należytą ostrożnością.

– **A jak wykorzystanie informacji łowieckich wygląda na świecie?**

– Najprościej mógłbym odpowiedzieć, że bardzo różnie. Co kraj, to obyczaj. Różnice wynikają zarówno z zagęszczenia populacji, jak i samych mieszkańców i myśliwych, zamożności tych ostatnich, tradycji współpracy łowiectwa z akademią i mnóstwa innych czynników. Jak w całej biologii środowiskowej chyba, prym wiodą Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i kraje skandynawskie, choć należy również podkreślić sporo interesujących i ważnych prac z Kanady, Czech i Republiki Południowej Afryki. Obserwuję coraz ciekawsze wspólne akademicko-łowieckie poczynania z Australii i krajów Azji Środkowej, a i Rosja budzi się z niedźwiedziego snu. Zresztą to, co się dzieje w krajach rozwijających się, stanowiłoby materiał na całą, nową opowieść. Zestaw badanych tam gatunków, egzotyka nieznanych w Europie problemów czy stosowane wyrafinowane metody badawcze są doprawdy imponujące.

– **Czy ostatnio spotkał się Pan Profesor z jakimiś spektakularnymi wynikami badań, ale takimi naprawdę zaskakującymi?**

– W zasadzie co rusz, to pojawiają się ciekawostki. O wielu staram się wspominać czy to na łamach różnych czasopism, w czasie wykładów na konferencjach i spotkaniach naukowych, a nawet na zajęciach ze studentami. Myślę, że dobry będzie świeżuteński przykład z prestiżowego amerykańskiego tygodnika "Science". Dotyczy bowiem i moich zainteresowań. Kilka lat temu zajmowaliśmy się nietypowymi parostkami sarny. Koledzy biolodzy nawet nieco podśmiewali się – ot, kolejne dziwadło, a dla myśliwych ujęcie ilościowe – kiedy i ile kozłów ma dziwne poroże to też nic specjalnie ekscytującego. No, chyba że trafi się jakiś medalowy myłkus, perukarz albo inny egzemplarz, którym warto pochwalić się przed znajomymi. Tymczasem my staraliśmy się zobaczyć, jak wygląda kondycja takich dziwnych samców, w jakim miejscu są odstrzeliwane, a nawet kto do nich strzela. Po latach okazało się, że to spojrzenie na nie-

typowe poroże może być całkiem interesujące i to w zaskakującym kontekście. Otóż zespół chińskich genetyków przyjrzał się rogom i porożom ssaków, sprawdzając, jak i dlaczego tak szybko rosną. Czynnikiem to bardzo szybko, a sam proces przypomina powstawanie komórek... nowotworowych. To dopiero początek ekscytujących badań, a oglądając ilustracje do nich, przywoływałem sobie w pamięci nasze badania spod Czempinia.

– **Stale mnie jednak nurtuje sprawa, że my sobie tutaj dobrze i przyjaźnie rozmawiamy, a jak się tylko obejrzymy, to widzimy dookoła olbrzymie emocje, które z nauką mają niewiele wspólnego.**

– Boje się, że to jakiś ogólny niebezpieczny trend, próba zideologizowania nauki. I to na bardzo różne sposoby. Jednak to wyłącznie część wyjaśnienia zjawiska. Jest i druga, bardziej przyziemna strona. Człowiek współczesny zapomina, lub nawet nie chce wiedzieć, skąd bierze się jedzenie na jego stole. Bismarckowi przypisuje się powiedzenie, że normalni ludzie nie powinni wiedzieć, jak robi się kielbasę i politykę. Wielu się to podoba. Mnie nie i uważam, że to kolejny z głupich pomysłów niby Wielkiego Kanclerza. Kończy się to oderwaniem myśli i ludzkich działań od rzeczywistości. Nawet wśród myśliwych sporo osób dostrzega to zjawisko. Coraz więcej „parcia” na efekt, a coraz mniej romantycznej przygody. Zapomnieniu ulega podstawowa wiedza o tropach, śladach, gatunkach roślin, a nawet ocenie warunków meteorologicznych. To nie tworzy klimatu do nauki – ani jej uprawiania, ani czerpania z jej wyników. Przepraszam, jeśli to zabrzmiało nieco pesymistycznie, bo to wbrew mojej naturze, ale staram się po prostu oceniać fakty. Z drugiej strony wiem jednak, że istnieje mnóstwo dobrych przykładów nauki łowieckiej, chęci jej sponsorowania i wykorzystywania. Nie trzeba przysłowiowej Ameryki odkrywać na nowo. Wystarczy tylko nieco dobrej woli. Po każdej ze stron. Tylko tyle i aż tyle.

– **Darz Bór!**



Prof. dr hab. Piotr Tryjanowski (* 1970) – dyrektor Instytutu Zoologii, Wydział Medycyny Weterynaryjnej i Nauk o Zwierzętach, Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu. Prowadzi badania na pograniczu ekologii, nauk weterynaryjnych i rolniczych. W swoich pracach naukowych wielokrotnie wykorzystywał dane łowieckie i wyniki publikował w najlepszych międzynarodowych czasopiśmie specjalistycznych.

Wrocław • Bawaria

Tekst: Jacek Seniów

Zdjęcia: Rainhard Peschke, Rainer Pietrasik

Z reguły to my, myśliwi, korzystamy z doświadczeń i kontaktów z nauką. Choć wygląda, że tym razem może być odwrotnie. Wszystko zaczęło się dobrych kilka lat temu od kontaktów pomiędzy miastami partnerskimi Oborniki Śląskie i Rehau w Bawarii. Myśliwi są wszędzie, a więc i tu również byli, trudno więc, aby się nie odnaleźli. Pierwsze kontakty miały formę czysto towarzyską. Potem coraz bardziej oficjalną pomiędzy obornickim Kołem Łowieckim „Leśnik” i bawarską organizacją myśliwych z Rehau. Dalej Bawarskim Związkiem Łowieckim, a jeszcze dalej organizacją bawarską i Zarządem Okręgowym Polskiego Związku Łowieckiego we Wrocławiu. Wszystko na płaszczyźnie wzajemnych wizyt towarzyskich umożliwiających zapoznanie się z prowadzoną gospodarką łowiecką, ale co cenniejsze – z własnymi kulturami łowieckimi.

Trzy lata temu strona bawarska zaproponowała oficjalną współpracę pomiędzy Bawarską Akademią Łowiectwa i Natury a Uniwersytetem Przyrodniczym we Wrocławiu. Bawarska Akademia Łowiectwa i Natury, której jednym z założycieli jest prof. dr Jürgen Vocke – przewodniczący Bawarskiego Związku Łowieckiego, współpracuje z 24 krajami, w tym Stanami Zjednoczonymi, na płaszczyźnie ochrony środowiska i łowiectwa.

Nie bez znaczenia przy złożeniu tej propozycji był fakt bliskiej współpracy naszej wrocławskiej organizacji łowieckiej z Uniwersytetem Przyrodniczym, w ramach której organizujemy wspólnie cykliczne konferencje naukowe. Wiele z nich miało charakter międzynarodowy. Nasi bawarscy koledzy brali w nich nieraz udział. Byli też pod wrażeniem osiągnięć Ośrodka Badań Środowiska Leśnego i Hodowli Dzikich Zwierząt utworzonego z inicjatywy prof. Józefa Nicponia. W sprawę zaangażował się również Konsul Generalny Rzeczypospolitej w Monachium Pan Andrzej Osiak.

Po ostatniej z konferencji, odbywającej się pod hasłem „Miejsce dla wszystkich”, w połowie lipca w Ośrodku Badań Środowiska Leśnego i Hodowli Zwierząt Łownych Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu odbyło się konkretyzujące wspólne działania spotkanie robocze obu stron. Wzięli w nim udział między innymi: Jego Magnificencja Rektor prof. dr hab. dr h.c. Tadeusz Trziszka, prof. Jürgen Vocke, prof. dr Sven Herzog reprezentujący Bawarską Akademię Łowiectwa i Natury oraz Wydział Biologii Zwierząt Wolnożyjących na Uniwersytecie Technicznym w Dreźnie, dr Joachim Reddeman – Dyrektor Naczelny Bawarskiego Związku Łowieckiego, Karlheinz Kauper – przewodniczący władz społeczności łowieckiej z Rehau, Rainhard Peschke – przedstawiciel tej społeczności, prof. dr hab. dr h.c. Józef Nicpor – pełnomocnik Rektora do spraw OBŚL i HZŁ oraz Ośrodka Leczenia i Rehabilitacji Dzikich Zwierząt. Pani dr Joanna Otachel-Hawranek z Wojewódzkiego Inspektoratu Weterynarii we Wrocławiu. Z uwagi na zaproponowaną przez stronę bawarską tematykę współpracy gospodarz spotkania prof. Józef Nicpor zaprosił prof. dr. hab. Henryka Okarmę z Instytutu Ochrony Przyrody Polskiej Akademii Nauk oraz prof. dr. hab. Bogusława Bobka z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, któremu towarzyszył dr Jakub Furtek z Polskiej Fundacji Ochrony Dzikich Zwierząt. Polski Związek Łowiecki reprezentowali: członek Naczelnej Rady Łowieckiej PZŁ Jacek Seniów, członek Prezydium Okręgowego Zjazdu Delegatów PZŁ we Wrocławiu i przewodniczący Komisji Szkoleniowej Zarządu Okręgowego we Wrocławiu Mieczysław





W pierwszym rzędzie od lewej stoją: Dr Joachim Reddeman – dyrektor generalny Bayerischer Jagdverband e.V., Prof. dr hab. Sven Herzog – Bawarska Akademia Łowiectwa i Przyrody, wykładowca na Uniwersytecie w Dreźnie, Prof. dr hab. Jürgen Vocke – przewodniczący Bayerischer Jagdverband e.V., Prof. dr hab. inż. dr h.c. Tadeusz Trziszka – Rektor Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, Prof. dr hab. dr h.c. Józef Nicpoń – Pełnomocnik Rektora ds. Ośrodka Badań Środowiska Leśnego i Hodowli Zwierząt Łownych, dyrektor Centrum Diagnostyki Eksperymentalnej i Innowacyjnych Technologii Biomedycznych. W drugim rzędzie: Karlheinz Kauper – przedstawiciel Bawarskiego Związku Łowieckiego, mgr Mieczysław Łyskawa – przewodniczący Komisji Szkoleniowej Zarządu Okręgowego PZŁ we Wrocławiu, Łowczy Koła „Remiza” przy Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu

Łyskawa oraz Rainer Pietrasik – członek Koła Łowieckiego „Remiza” przy Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu. Wspierał nas swoim doświadczeniem kierownik OBŚL i HDZ Uniwersytetu Przyrodniczego Krzysztof Hulewicz.

Wśród interesujących obie strony porozumienia tematów znalazła się kwestia afrykańskiego pomoru świń. Pani dr Joanna Otachel-Hawranek omówiła w sposób bardzo interesujący i wyczerpujący przebieg choroby w Polsce, stan aktualny i podejmowane kroki na drodze jej zwalczania. Wymieniliśmy wspólne i rozbieżne uwagi obu stron.

W dalszym toku spotkania omówiono proponowane zagadnienia współpracy, a w tym problematykę chorób zakaźnych zwierzyny czarnej oraz jej obciążenia cezem, monitorowania migracji transgranicznych, wymiany wiedzy o gatunkach zagrożonych i inwazyjnych, w szczególności:

- opracowanie optymalnego systemu monitoringu wilka na podstawie badań genetycznych na terenie naszych krajów oraz Czech i ewentualnie Austrii;

- opracowanie metody inwentaryzacji, ustalenie głównych przyczyn wzrostu populacji i sposobu jego ograniczenia u dzika w pasie przygranicznym 50 km w ramach profilaktyki przemieszczania się afrykańskiego pomoru świń;

- przeprowadzenie dalszych badań nad zawartością zearalenonu w tkankach dzików pozyskiwanych z terenów, gdzie większość upraw na ziarno stanowi kukurydza, w Niemczech oraz w Polsce i Czechach;

- przeprowadzenie badań nad zarażeniem taśmiemcem lisim populacji lisów, szopów i szakali na terenie Niemiec, Polski i Czech;

- wykonanie pracy doktorskiej przez doktoranta z Polski w Niemczech na ustalony temat dotyczący dzikich zwierząt pod kierunkiem profesorów Svena Herzoga i Józefa Nicponia.

Zwrócono uwagę na konieczność prowadzenia niektórych zagadnień w szerszym gronie zainteresowanych krajów.

No cóż, wygląda na to, że tym razem nauka korzysta z naszych myśliwskich kontaktów i doświadczeń.

im. Wiktora Szukalskiego

Tekst: Mariusz Kowalczyk

Zdjęcia: Marek Busz

Data 27 listopada 2018 roku myśliwym, sympatykom łowiectwa, a także środowiskom kultury łowieckiej przyniosła wielką stratę. Odszedł wtedy do Krainy Wiecznych Łowów Kolega WIKTOR SZUKALSKI – HONOROWY CZŁONEK POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO, KLUBU KOLEKCJONERA I KULTURY ŁOWIECKIEJ ODDZIAŁU WROCŁAWSKO-OPOLSKIEGO.

Z łowiectwem związany był od młodości lat. W roku 1948 otrzymał pozwolenie na broń i od-tąd realizował swoją pasję i przygodę łowiecką. Kolega Wiktor pełnił wiele funkcji społecznych i eta-towych w związku. Był pionierem powojennego łowiectwa dolnośląskiego, współtwórcą statutu PZŁ i prawa łowieckiego, w latach 1961–1969 zasiadał w Naczelnej Radzie Łowieckiej. Współtworzył struk-tury PZŁ w nowo powstałych województwach na zachodzie Polski.

Wielką pasją Kolegi Wiktora było strzelectwo my-sliwskie i dzięki Jego działaniom powstała we Wro-cławiu strzelnica myśliwska. Za ogromne zasługi dla PZŁ został wielokrotnie odznaczony brązowym, srebrnym i złotym Medalem Zasługi Łowieckiej, żeto-nem „Złomu”, Medalem Świętego Huberta, medalem „Zasłużony dla Łowiectwa Dolnośląskiego”. Za swą działalność został doceniony nie tylko przez społecz-ność myśliwską, ale również przez środowiska kultury i nauki – uhonorowany został Złotym Krzyżem Zasłu-gi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Krzyżem Oficerskim i Krzyżem Komandorskim.

Jest autorem wielu opracowań i artykułów wspo-mnieniowych. Lasy Państwowe w podziękowaniu za wieloletnią współpracę wyróżniły Go Kordelasem Leśnika Polskiego.

Las traktował jako najlepszego przyjaciela, który Go osłaniał w trudnych czasach, a później darzył my-sliwską przygodą.

Klub Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej Oddziału Wrocławsko-Opolskiego, którego był członkiem, po-stanowił uhonorować Kolegę Wiktora i nadać Klubowi Jego imię. Po uzyskaniu aprobaty ze strony Pani Anny Szukalskiej – wdowy po Koledze Wiktorze, 8 maja 2019 roku w restauracji „Gospoda” w Obornikach Śląskich, dzięki uprzejmości gospodarza, Kolegi Mariusza Kowalczyka, odbyło się uroczyste nadanie Wrocławsko-Opolskiemu Oddziałowi KKiKŁ imienia Wiktora Szukalskiego. „Gospoda” w Obornikach Ślą-skich to szczególne miejsce, w którym od wielu lat odbywały się imprezy myśliwskie, na których gośćmi honorowymi byli Państwo Szukalscy.

W uroczystości udział wzięli: Pani Anna Szukalska, pomysłodawca i współorganizator Kolega Prezes KKiKŁ Tomasz Grzesiak i Kolega Wiceprezes Zbigniew Korzeniowski – autor i wykonawca medalu pamiąt-kowego z osadzonym na nim grandlem byka jelenia ze zbiorów Kolegi Wiktora Szukalskiego, członek NRŁ Kolega Jacek Seniów, Łowczy Okręgowy we Wrocła-wiu Kolega Roman Rycombel, kapelan wrocławskich myśliwych ks. Witold Hyla, dyrektor RDLP we Wrocła-wiu Paweł Górski oraz Łowczowie Okręgów Legnic-





kiego, Wałbrzyskiego, Leszczyńskiego, Opolskiego, Jeleniogórskiego oraz przyjaciele i znajomi.

Po wprowadzeniu sztandarów okręgowych PZŁ, kół łowieckich, Klubu Kolekcjonera, oddziałów ościennych KKiKŁ, Lasów Państwowych, po sygnale „Darz Bór”, Kolega Tomasz Grzesiak poprosił zgromadzonych o uczczenie minutą ciszy pamięci Kolegi Wiktora Szukalskiego. Przedstawił też krótką biografię Zmarłego. W swoim wystąpieniu Koledzy Jacek Seniów i Roman Rycombel gratulowali organizatorom pomysłu i zaangażowania. Spotkanie to unaocznilo, jak bardzo Kolega Wiktor był ceniony przez środowisko i podkreśliło Jego zasługi dla łowiectwa oraz otaczającej nas przyrody. Dyrektor Lasów Państwowych Paweł Górski wspominał o zasługach Zmarłego dla lasów dolnośląskich. Łowczy Okręgu Opolskiego Kolega Wojciech Plewka zwrócił uwagę, że największą misją Wiktora było przywrócenie środowisku naturalnemu głuszcza. Podsumowania tego pięknego spotkania dokonał w imieniu Klubu Kolekcjonera Prezes

Zarządu Głównego Kolega Marek Stańczykowski. Pan Wiktor jest i będzie wzorem do naśladowania dla wielu pokoleń myśliwych. Pozostanie na zawsze w naszej pamięci.

Pani Anna Szukalska ze wzruszeniem podziękowała wszystkim zebrany za tak piękną uroczystość. – Jestem dumna – powiedziała – że mój mąż jest tak doceniany.

Po wręczeniu Pani Annie kwiatów od przyjaciół, znajomych i organizacji, przy sygnałach myśliwskich w wykonaniu zespołu „Akord Lasu”, wszystkim zgromadzonym wręczono wspomniany wcześniej medal okolicznościowy. Dokonali tego Koledzy Tomasz Grzesiak i Zbigniew Korzeniowski.

Po części oficjalnej goście zasiedli do wspólnego stołu i mogli między innymi degustować nalewkę „Głuszcówkę Ruszowską” autorstwa Kolegi Wiktora, przywiezioną przez Panią Annę Szukalską. A potem były wspomnienia, wspomnienia...





LA CHASSE
A COURRE





Zapaską na łowy

Małgorzata Świerczewska,
zakochana w labradorach miłośniczka łowów,
której kolejnym konikiem są... apaszki



– Małgorzato, apaszki magia to...?

– Apaszka jest codziennym elementem mojego ubioru. Podkreśla mój styl, pozwala czuć się bardziej elegancko, czasem zwyczajnie chroni przed chłodem. Barwny jedwab dodany do marynarki czy bluzki przyciąga wzrok, a widoczne na apaszcze myśliwskie lub zwierzęce motywy sugerują, co mnie interesuje i pociąga.

Magia apaszek? Łowy i zwierzyzna namalowane na jedwabiu same w sobie wydają się być już magiczne, bardziej ulotne, subtelne. Noszę je trochę jakby w przeciwwadze naszej szarej codzienności polowania.

Niektóre z moich apaszek ukazują scenki myśliwskie, np. polowanie konne na lisy czy jelenie, w scenerii, której nie zobaczymy już na żywo. Te eleganckie stroje, złaje psów, jeźdźcy z rogami par force... Zawsze chciałam polować w takim stylu.

Zaczynałam przygodę z łowiectwem prawie czterdzieści lat temu. Były to wówczas cza-

sy łowiectwa ubranego raczej po wojskowemu, w „mora” i „deszczyki”, czasem, z rzadka, trafiał się strój z lodenu przywieziony gdzieś zza zachodniej granicy. Sama ubierałam się podobnie i gdy któregoś razu zobaczyłam na polowaniu starszego kolegę, który w rozpięciu koszuli miał fantazyjnie zawiązaną bordową apaszkę w jelenie, zrozumiałam, jak niewiele potrzeba, żeby zmienić, czy choćby ożywić, zwykły strój myśliwego.

I tak zaczęły się poszukiwania apaszek w myśliwskie wzory. Miałam już wówczas niewielką kolekcję apaszek „końskich”, pozostałość po mojej pierwszej pasji – jeździectwie. Przejście od jeździectwa do łowiectwa nastąpiło u mnie płynnie w czasie studiów. Obie te pasje wiele łączy, mamy przecież wspólnego patrona i pogonię za lisem. I takie też były moje pierwsze apaszki – przedstawiały konie podczas polowań par force. Niektóre z nich mam do dziś, mają naprawdę dużo lat...



Potem zaczęłam szukać apaszek przedstawiających zwierzęta łowne. Nie tak łatwo jest znaleźć kawałek jedwabiu z namalowanym dzikiem, choć czasem mi się udaje. O wiele łatwiej jest zdobyć apaszki przedstawiające bażanty czy kaczki. Mam ich chyba najwięcej. Niektóre są drukowane, inne ręcznie malowane, jedne obszywane, inne rolowane.

Szukając apaszek, zaczęłam się interesować ich pochodzeniem, technikami druku i gatunkami jedwabiu. Oprócz apaszek, które zwykle mają około 85 cm x 85 cm, zbieram również mniejsze gawroszki i poszetki. Przez ostatnie lata nabierało się ich ponad pięćdziesiąt.

– ***Twoja kolekcja to apaszki z motywami myśliwskimi. Myśliwi lubią talizmany dodające kolorytu naszemu hobby. Czy to może takie Twoje osobiste talizmany?***

– Nie traktuję ich jako talizmanu, chociaż idąc na jakieś ważne spotkanie, zawsze staram się którąś założyć. W swojej kolekcji mam kilka ulubio-

nych (jak ta ze zdjęcia), które noszę najczęściej i które, właściwie mogę tak już powiedzieć, przynoszą mi szczęście.

– ***I rzeczywiście zawsze masz którąś ze sobą na łowach?***

– Nie zawsze, raczej zakładam je do stroju „po polowaniu” i do stylizacji na różne imprezy myśliwskie. Na polowaniu preferuję cieplejsze okrycia szyi. Zakładam je też bardzo często do pracy. Czasem stają się pretekstem do rozpoczęcia rozmowy o łowiectwie, naszej kulturze i etyce, z osobami na co dzień niemającymi styczności z myślistwem.

– ***Złośliwością niedowiarka byłoby spytać, czy działają...?***

– Jako talizmany raczej nie działają, ale poprawiają samopoczucie i nastrój.

Rozmawiał: Jacek Seniów

Zdjęcia: Tomasz Stasiak



STRACHODZIK

AUTONOMICZNY ODSTRASZACZ DZIKÓW

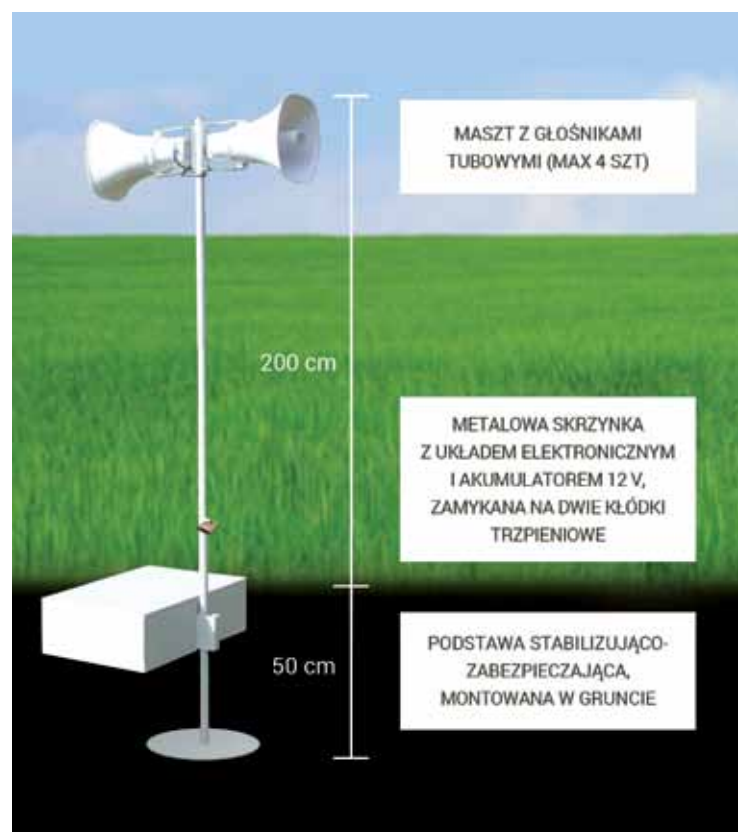


SKUTECZNA OCHRONA KUKURYDZY I INNYCH UPRAW PRZED SZKODAMI POWODOWANYMI PRZEZ DZIKI

Autonomiczny Odstraszacz Dzików (AOD) to elektroniczne urządzenie emitujące biosoniczne dźwięki i sygnały, które skutecznie odstrasza dziki od upraw kukurydzy, zbóż, ziemniaków, buraków oraz innych agrokultury.

PODSTAWOWE CECHY URZĄDZENIA:

- ✓ Potwierdzona testami i pracą w warunkach rzeczywistych skuteczność odstraszenia zwierząt.
- ✓ Oszczędność czasu i kosztów związanych z ochroną pól.
- ✓ Zabezpieczenie przed warunkami atmosferycznymi oraz nieuprawnionym użyciem lub kradzieżą.
- ✓ Możliwość montażu w dowolnym miejscu na polu, zasilanie ze standardowego akumulatora 12V.
- ✓ Tryb oszczędzania energii.
- ✓ W pełni automatyczne lub ręczne sterowanie urządzeniem i emisją sygnałów.
- ✓ Sekwencje specjalnie dobranych dźwięków emitowane są w zmiennych odstępach czasu w zaprogramowanych godzinach np. 20.00 - 6.00.
- ✓ Skuteczny zasięg nadawanego sygnału do 250 m w każdą stronę.
- ✓ Prosta obsługa i niezawodne działanie.





BROWNING®

AB3

A-BOLT 3 HUNTER

A-BOLT 3 COMPO

JUŻ OD 2 990 zł



KNIEJA
www.knieja.com.pl

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR MARKI BROWNING NA TERENIE POLSKI:
F.H. Knieja Mariusz Rubiś
Kraków, Aleja Daszyńskiego 32, tel. 12 421 82 33

 /KNIEJA_FH
 /F.H. KNIEJA